

Vari:Art

pismo kulturalno-literackie
02/2013



www.wbp.olsztyn.pl



SZTUKA SZYTANA MIARĘ SZYTANA SZYTANA MIARĘ MIARĘ



ISSN 2080-1483



Anna Rau FOTOMONTER

Wiedza Stanisława S. o mieście, w którym żył, była – oglądnie mówiąc – skąpa. Olsztyn, Polska, Unia Europejska. Tu i teraz. Jednak, gdy na jakiejś imprezie kolega zagiął go pytaniem, czym się różnili Prusacy od Prusów, lekko w siebie zwątpił i postanowił „coś z tym zrobić”. Więc zaczął czytać.

Artykuły o Prusach szczerze go zainteresowały, ale przede wszystkim lekko rozrzewniły. No bo jak ich potraktowano, doprawdy! A gdyby tak teraz przyszli jacyś obcy, takie UFO choćby, i kazali przestać chodzić z koszykiem na Wielkanoc, zabronili choinki w grudniu, zabrali kilka dni wolnych, no a przede wszystkim powiedzieli, że ICH porządek świata jest lepszy?! Życie Prusów było cudowne – żyli sobie wśród nieskażonej przyrody, otoczeni łagodnymi zaskrońcami, które poili mlekiem, siali bób, mak i fasolę, słuchali wieczorami przy ogniskach opowieści kapłanów i czcili w wolnym czasie wielu ciekawych bogów. Po co to było zmieniać? Wystarczyło ich trochę ucywilizować! I właśnie wtedy Stanisław – wyłącznie z szacunku dla swych przodków (mimo że jak większość olsztynian pochodził z napływu) – postanowił odnowić kulturę dawnych czasów. „A może zacząć od religii? – myślał. – Bo czy komuś będzie przeszkadzać, że sobie chyłkiem będę wierzył w któregoś z wypędzonych bogów? I może dzięki temu będę miał w życiu więcej fartu?”. A jako że zwłaszcza zapadł mu w duszę Perkun, bóg burzy i piorunów, Stanisław postanowił, że będzie czcił Perkuna! Ale do kultu jest potrzebny wizerunek boga oraz jakieś akcesoria – trzeba było pogłębić wiedzę... Perkun wydał się Stanisławowi jakiś dwoisty – z jednej strony w nim był ogień, z drugiej – woda, z jednej opieka nad walką, z drugiej – nad tymi, którzy składają przysięgi. „Ha! – czyli na obraz boga powinna się składać para elementów – niby takich samych, ale odmiennych.... Hmm... te dwa dziwaczne zegary słoneczne na południowym narożniku biblioteki na Starym Mieście. Podobnie odmiennie. Oczy Perkuna!!!”. I Stanisław mógł działać.

Którejś burzowej nocy zakradł się na olsztyńską starówkę i, stojąc dokładnie pod mozaikowymi zegarami, rozpoczął rytuał. Złożył na ziemi gałązkę dębu oraz (szybko się rozejrzawszy) podskoczył i zarżał. W końcu najważniejszymi symbolami Perkuna były dąb i koń... Stanisław wiedział nawet, że Prusowie oswoili dzikie tarpany i utworzyli w ten sposób własną, pruską odmianę wierzchowców – i zachwyciło go to. Ale gdy bąknął coś żonie o hodowli jakiegoś – ku czci Perkuna oczywiście – ta najpierw zrobiła wielkie oczy, a potem spytała jadowicie, czy w ramach tego pozbędą się samochodu z garażu (jedyne miejsce na konia) oraz czy ma też zamiar żrebaka przyuczyć jedzenia kartofli z Biedronki, bo na inną paszę w ilości hurtowej ona nie ma widoków. (Stanisław poczuł się wtedy głęboko zraniony tym porównaniem pruskiego konia do jakiegoś prosiaka wśród kartofli z posypką).

- O wielki Perkunie – szeptał gorączkowo – przyjmij tę ofiarę od swego małego i nic nie znaczącego... eee... fana. Wiernego, znaczy się. Nie porażaj nas gniewem za to, że przez tyle wieków o tobie zapomnieliśmy. Zmusili nas i mieliśmy mnóstwo wojen. Ale teraz składam ci w dowód pamięci gałązkę dębu. Nic za to nie chcę – to tylko wyraz mego...

Wysoko nad nim zapłonęły kobaltowo dwa zegary słoneczne – kolorowe Oczy Perkuna. To odbłask błyskawicy, czy bóg się wreszcie obudził? Stanisław w pozycji kucznej (gdyż klęczenie uznał

za zbyt noworeligijne) zaczął wpatrywać się spode łba w niebieskie tarcze. Nie chciał obrazić boga dumnym podniesieniem karku, ale z drugiej strony musiał go przecież zobaczyć! Gdy w pewnym momencie usłyszał ryk z niebios (to na bank będzie uznane objawienie!!! – ucieszył się), ujrzał coś nieczym jaskrawe światło flesza i najpierw poczuł się trochę dziwnie, a potem zamknęła się nad nim ciemność.

Gdy otworzył oczy, poczuł muskającą mu koniuszki uszu wodę i na ciele lekki chłodek, a nad sobą ujrzał lekko zamazany obraz postaci w czerni z bijącą bielą na tym tle koloratką...

- Inkwizycja!!! – pomyślał. – Dowiedzieli się o moim nawróceniu! Ktoś... pewnie żona – w zemście!... Ktoś im doniósł o wskrzeszeniu wiary w Perkuna i przyszli mnie spalić na stosie!!!

- Proszę pana.... – koloratka zaczęła nim lekko potrząsać. – Nic panu nie jest? Niech pan nie leży w czasie burzy na otwartej przestrzeni, bo strzeli w pana, albo co gorsza, się pan przezięb. A może dostał pan zapaści?

- Eminencjo! – wyszeptał Stanisław. – To nie tak, jak wielki inkwizytor myśli, zarząłem, podskoczyłem, a wtedy słońce i księżyc zaświeciły na niebiesko! Nic wam nie powiem – a temu donosicielowi, co was przysłał, to już nigdy kwiatów nie kupię! Nie palcie mnie, Noc Kupały już była!... – zamknął na sekundę oczy, gdyż zobaczył wychodzącą zza rogu przerażającą zakonnicę (zapewne służkę inkwizytora), i zapadł niebyt.

- Święty Florianie, ten człowiek bredzi! – koloratka w rzeczywistości była proboszczem jednego z pobliskich kościołów. Średnio zadowolony z nagłej misji, ale zdeterminowanym w pełnieniu dobra. – Może już go piorun trafił? Trzeba mu pomóc. Siostrzo Perpetuo! Zabieramy na parafię!

Stanisław obudził się w jasnym i ciepłym miejscu. Jego lekko zgąsłe spojrzenie przesunęło się po panteonie figurek świętych i kolorowych obrazków z oskarżycielsko wlepionymi w niego oczami.

- Wojna psychologiczna! Żywego mnie nie wezmą – Stanisław bohatercko przymknął powieki.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sonc.pl

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



02

Fotomonter XVIII

04

Wywiad → Dwie strony medalu

06

Zapomniana „profesja”
Mikołaja Kopernika

08

Recenzja literacka

10

Kupcy znów protestują

12

RZEŹNIA LITERACKA

13

Proza → Urszula Witkowska

16

Galeria VariArt-a
→ Tam i tu. Nowe spojrzenie
na ilustrację

18

Warmiński Dwugłos
→ rozmowy o Warmii w bibliotece
UMK w Toruniu

20

Miara współczesności

22

Recenzja literacka

24

Leitkultur czy „Leichtkultur”?
Co dzisiaj jest miarą kultury
narodowej?

26

Rekonstrukcja historyczna

28

Symetria i paradoks równowagi

30

Recenzja literacka

31

Szkice z obrazkiem

Raz, dwa, trzy, cztery... Dwa tysiące trzynaście!

W drugim numerze „VariArt-a” mierzymy się z bezmiernym problemem: czy kulturę można zmierzyć lub zbadać jej wagę? Uściślić, policzyć, określić? Czy wszystko ma swoją cenę? Tysiąc pięćset sto dziewięćset? Na te pytania próbują znaleźć odpowiedź amatorzy wszelkich miar i wag. Kwestię, jak ciężką pracę wykonuje juror, rozwija Krystyna Jędrys. Rafał Bętkowski przedstawia spór wielu miar: wyrównania oraz rozszerzenia i ujednolicenia oraz zróżnicowania. Damian Wesolek rozważa temat miary kultury narodowej, zaś Marek Jęrasik ujmuje filozofię miary, podkreślając jej uniwersalny i ponadczasowy charakter. Galeria ukazuje kwestię odnowy: jak stara ilustracja w nowym ujęciu może nabrać współczesnego wymiaru. Anna Rau w swojej recenzji przedstawia średniowieczną ascezę jako przekraczanie miary (a może Inną Miarę?), zaś symetrii poszukuje w różnych sferach życia Krzysztof Dariusz Szatravski. Odliczając do dwóch Edward Cyfus i Hubert Orłowski w Dwugłosie Warmińskim oraz Anita Romulewicz w recenzji książki dziecięcej *Pam-Pam*. Z kolei Marek Barański snuje refleksje o powtarzalności czasu w ujęciu Tadeusza Różewicza. Na koniec zaś o nieskończoności pisze w swoim Szkicu z Obrazkiem Dariusz Szymanowski.

Dla tych, co czasu nie mierzą, miarka literatury: 25 centymetrów prozy Urszuli Witkowskiej i 1/3 twórczości laureatów Rzeźni nr 5.

Właśnie wybiła godzina 15 na słonecznym zegarze Starego Ratusza – Czytelniku, oceń, ku czemu czas zmierza.

Redakcja



Dwie strony medalu

rozmowa z Krystyną Jędrys – jurorką,
opiekunką i reżyserką Grupy Teatralnej „Kokon”

Iwona Bolińska-Walendzik: Juror – czy potrzebne są jakieś określone predyspozycje do tego, by nim zostać?

K.J.: To bardzo trudne pytanie. Ja wciąż się uczę, więc jestem oceniana, instruowana przez innych. A będąc jurorem, muszę sama oceniać. Hm... Jurorem nie można stać się tak od razu, na przykład zaraz po studiach, trzeba mieć doświadczenie zawodowe w danej dziedzinie. Moim zdaniem trzeba też mieć pewien talent, intuicję, wrażliwość. Dotyczy to zarówno jurora, jak i twórcy. Twórca powinien mieć te same cechy, co juror, oczywiście zdarza się tak, że jurorami są osoby, które kształcą się na kierunkach teoretycznych. Ale przecież i one nie są w stu procentach teoretykami, także uczestniczą w życiu kulturalnym, dojrzewają do tego, żeby mieć swoje zdanie i – jeśli jest ono ciekawe, jeśli też potrafią czytać artystę, jeżeli dzieło w nich pulsuje... – powstaje reakcja łańcuchowa. Juror, krytyk powinien nie tylko być wrażliwy na dzieło, które pobudza jego wyobraźnię, powinien również czytać symbole w nim zawarte. Na pewno więc musi mieć wiedzę na dany temat – powinien mieć podstawy wykształcenia z zakresu historii teatru, muzyki, literatury, sztuki, gdyż teatr jest wypadkową różnych dziedzin sztuki. Ale podkreślam, że sama wiedza nie wystarczy, potrzebna jest wrażliwość, dzięki której będzie mógł wychwycić poszczególne komponenty, w moim przypadku związane z teatrem, na przykład: czy konstrukcja spektaklu jest czytelna, czy naczelna idea-myśl jest przekazana i czy temu jest przypisana określona forma, gra aktorska, kostiumy i dekoracje.

I.B.-W.: A jeśli poszczególne komponenty spektaklu są dobre, a jednak nie ma nagrody?

K.J.: Tak, czasami pada takie pytanie od instruktora przyjeżdżającego na konkurs teatralny: jeżeli wszystko jest dobre, pomysłowe, to dlaczego nie zostaliśmy lepiej ocenieni? Czasami jest tak, że poszczególne elementy są dobre, ale nie grają ze sobą, nie ma harmonii, brakuje tego czegoś nieuchwytnego... talentu? A może właśnie myśli, która scaliliby i uzasadniła całość. Rolą jurora jest to wychwycić. Jednak, żeby wszystko zagrało w tym jednym, jedynym momencie prezentacji, muszą być spełnione określone warunki. Ten sam spektakl zaprezentowany w jednym miejscu może być świetny, w innym nie. Jestem zawodowcem i wiem to doskonale, że przeniesienie przedstawienia z małej sceny na dużą bardzo często odbywa się kosztem wyrazu całości. W czasie konkursów teatrów amatorskich jest bardzo mało czasu na przygotowanie spektaklu do prezentacji. Przeniesienie przedstawienia teatralnego w pięć minut w inną przestrzeń nie zawsze się udaje, nie każdą rzecz po prostu da się przenieść. Spektakli nie robi się z myślą o festiwalach, festiwale się zdarzają, są przy okazji. Gdy prezentuję spektakl na scenie w MOK-u, w Kamienicy Naujacka, mam określoną przestrzeń i energia wystawianego spektaklu jest bardzo mocno wpisana w ten obszar lub podobne. Z obrazem jest chyba tak samo, jak nie

zostanie właściwie oświetlony, nie zostanie odpowiedniej ramy, oprawy, to też nie zaprezentuje się w pełni.

Rolą jurora jest wybranie tego jednego spośród wszystkich uczestników konkursu, w warunkach zaaranżowanych naprędce, jego zdaniem najlepiej zaprezentowanego spektaklu. Dużo lepiej by było, gdyby ocena przedstawienia była wypadkową dialogu jurorów, twórców i widzów. Niestety tak zazwyczaj nie jest ze względu na czas czy inne uwarunkowania obiektywne. Zespoły, które wyjeżdżają, mogą mieć wtedy poczucie niesprawiedliwości czy niespełnienia.

I.B.-W.: Co jest najważniejsze w pracy jurora?

K.J.: Uczciwość, wrażliwość, wyobraźnia, intuicja, wiedza, klasa... umiejętność podejmowania decyzji, a także umiejętność pójścia na kompromis.

Przed wszystkim juror powinien być otwarty na każdego artystę. Nie może się zamykać w kręgu własnych upodobań i tych upodobań faworyzować. Ma rolę służebną. Ta praca wymaga ogromnej odpowiedzialności. Sama często występuję w roli ocenianego, co mnie utrzymuje w permanentnym stanie pokory. Będąc jurorką, często domyślam się, jakie ktoś miał problemy, ile włożył pracy w to, by dojść do miejsca, w którym się obecnie znajduje, dlatego w rozmowach z twórcami-instruktorami staram się dawać uwagi konstruktywne, przekazywać dobrą energię. Zależy mi na tym, by osoba, którą oceniam, coś z tego wyniosła. Mówienie o tym, że to lub tamto jest złe, nie prowadzi do niczego – nikt tego nie lubi, to blokuje komunikację. Poza tym staram się szanować wolność twórczą drugiego człowieka, a nie mówić: zrób tak i tak. Nie proponuję gotowych rozwiązań, czasami pytam: a gdybyś poszukała (poszukał) w tym lub w tym kierunku? Jeżeli czegoś nie rozumiem, próbuję się dowiedzieć, skąd pochodzi takie rozwiązanie, a nie autorytatywnie stwierdzam, że jest niewłaściwe tylko dlatego, że niezrozumiałe dla mnie, bo może dla innych tak? Zawsze biorę pod uwagę to, że mój umysł nie pojął czegoś, a nie, że ja tylko mam rację, bo jestem jurorem i ja wyznaczam, co jest dobre, a co nie. Pokora, o której mówiłam, jest bardzo istotna, gdyż może nas – jurorów – uchronić od śmieszności.

Z rozmów z Leszkiem Gradem, byłym dyrektorem Teatru Lalek w Olsztynie i jurorem z ponad trzydziestoletnim stażem, wiele się nauczyłam. To on zwracał moją uwagę na fakt, że powszechnym błędem jurorów jest branie pod uwagę tylko efektu artystycznego, bez przyjrzenia się procesowi powstawania spektaklu. Brak przestrzegania tej uwagi może skrzywdzić zespół, zwłaszcza że efekt artystyczny to także rzecz gustu. Fakt bycia jurorem nie daje gwarancji obiektywności, czasem może odbierać umiejętność bycia widzem, a przecież to właśnie widz ze swej natury jest najbardziej uprawniony do oceny przedstawienia. Integralną częścią teatru dzieci i młodzieży są wartości artystyczne, psychologiczne i wy-



chowawcze, ocena tylko jednego z wymienionych elementów może być krzywdząca dla zespołu teatralnego. I o tym staram się zawsze pamiętać.

I.B.-W.: Czy jurorowanie jest trudne?

K.J.: Najwspanialej jest, gdy oceniany zespół zauroczy wszystkich, role są dobrze zagrane, dykcja dobra, wybrana forma niebanalna, całość ciekawa. Albo gdy wchodzi aktor na scenę i kupia na sobie uwagę całej komisji, jakby mówił: i tak będziecie moi. Wtedy jest rewelacyjnie. Wszyscy są zgodni, przyznając nagrodę. Wszystko jest proste. Są jednak chwile, gdy juror odczuwa dyskomfort, bo są trzy nagrody, a osób czy zespołów godnych nagrodzenia więcej. Bardzo dobrze, jeśli wtedy komisja jest liczniejsza: dyskutujemy, odbywa się głosowanie i podejmujemy werdykt. Ktoś jest zadowolony, a ktoś nie. Tłumaczę to sobie w ten sposób: jestem odpowiedzialna, jeżeli moje argumenty nie przekonały większości, to trudno – jest mi przykro, ale nie ma wyjścia.

Bywa i tak, że niektórzy członkowie komisji tak ewidentnie się nie zgadzają z innymi, że stawiają *вето* i nie biorą udziału w głosowaniu. Na szczęście w konkursach, w których oceniałam, tak się nie zdarzyło. Jestem jurorem w konkursach recytatorskich oraz w konkursach teatrów amatorskich, m.in. „O Laur Złotej Rybki”. Są to zmagania zespołów teatralnych ze szkół podstawowych. Eliminacje do tego konkursu odbywają się w całym województwie, m.in. w Barczewie, Morągu, Lubawie, Ornecie, Szczytnie czy Węgorzewie, a muszę powiedzieć, że poziom teatrów amatorskich w naszym województwie jest dość wysoki, tak jak i świadomość teatralna instruktorów.

I.B.-W.: Jest Pani nie tylko jurorem, ale i uczestnikiem konkursów. Jak postrzega Pani pracę jurorów z tej perspektywy?

K.J.: Prowadząc grupę teatralną „Kokon” działającą przy Miejskim Ośrodku Kultury w Olsztynie, która skupia młodzież licealną i studentów, startuję w różnych konkursach – i w wojewódzkich, takich jak w Bartoszycach czy w Olsztynie, i w ogólnopolskich, np. w Pło-

śnicy i w Łodzi. Spotygam się oczywiście z różną oceną naszych spektakli. Bywa tak, że w jednym miejscu przedstawienie zostaje niezauważone, a w innym to samo jest uhonorowane nagrodą czy wyróżnieniem. Młodzież na tej podstawie może zobaczyć, jak różne mogą być oceny. Mało tego, pozytywne opinie mogą różnić się od siebie. Startując w Ogólnopolskim Konkursie Teatralnym Konfrontacje w Łodzi, w trakcie omówienia spektakli usłyszeliśmy opinie dwóch jurorów. Obydwaj mówili, że spektakl *Panny L* jest dobry. Jeden powiedział, że dobrze, iż sztuka trwała pół godziny, bo dłuższa by go już tak nie wciągnęła (Marian Glinkowski), a drugi (Wiktor Zborowski) – że dobrze, iż to trwało trzydzieści minut, bo dłużej nie wytrzymałby z uruchomionych w nim emocji. Spektakl i jego twórca ma swoją wrażliwość, nie może przemówić tak samo do wszystkich. Podobni mu odbiorą komunikaty, inni – nie wszystkie. Na Studenckim Olsztyńskim Festiwalu Teatrów spektakl *Panny L* podczas omówienia dostał słabą recenzję. A w Bartoszycach, Płońscy i Łodzi został nagrodzony. Gdybyśmy trafili tylko na festiwal, na którym usłyszeliśmy pytanie: „po co dzisiaj robię Leśmiana?”, to może załamałabym się, że szanowny członek komisji może tak powiedzieć. A co pomyślała młodzież? O mnie? O jurorze?

Ja wiem, że ocena może być względna i zmienna. I wiem, że ludzie, którzy są jurorami, powinni brać ogromną odpowiedzialność za słowa i formę wypowiedzania opinii. Juror powinien nie tylko oceniać, ale i mobilizować do dalszej pracy. Powinien pamiętać, że nie jest jedyną wyrocznią, która wie, czy dany człowiek ma w sobie to coś (talent). Pracowałam z młodzieżą, która po powrocie z festiwalu mówiła, że oceniono ich w taki sposób, iż potem nie mieli w ogóle motywacji do dalszej pracy. Wręcz bali się wejść na scenę. Musiałam przez kolejne pół roku albo rok pracować, żeby się odblokowali. Kiedy się siedzi w komisji, trzeba naprawdę uważać na słowa, na to, co się mówi, bo ma się do czynienia z młodzieżą bardzo wrażliwą, delikatną. Oczywiście wchodząc na scenę, młodzież musi się spodziewać, że może „dostać pomidorem”... Ale oni się na razie





uczą, są na amatorskiej scenie, nie żądają pieniędzy za to, co robią, więc pomidor im się też chyba nie należy. Na razie rozwijają swoją osobowość i będą jeszcze podejmować różne decyzje związane z zawodem wykonywanym w przyszłości. Tak więc ocena ma być sprawiedliwa, ale podana w sposób, który zbuduje, a nie zniszczy. Na szczęście konkurs to coś więcej niż tylko walka o miejsca czy nagrody – poza werdyktem jest przecież wspólny wyjazd, możliwość większej integracji, sprawdzenia się zespołu w nowej niełatwej sytuacji i – co najcenniejsze – zobaczenia innych spektakli. Takie spotkania są bardzo inspirujące i muszą zaowocować czymś nowym.

Wygrywałam i przegrywałam, ale zawsze mówiłam moim podopiecznym, że nie należy się zniechęcać i zawsze warto podejmować trud, ponieważ bardzo ważna jest sama radość tworzenia. Młodzież, która przychodzi na zajęcia do „Kokonu”, jest fantastyczna, zdobyła wiele nagród i wyróżnień. To ona zachęca mnie do brania udziału w różnych festiwalach – a ja ulegam, bo dobrze jest wciąż weryfikować własne umiejętności, dzielić się tym, co ma się do powiedzenia, i słuchać, co mają do powiedzenia inni w teatrze, także w teatrze amatorskim.

I.B.-W.: Czy jest różnica, być po tej drugiej stronie, być jurorem?

K.J.: Perspektywa bardzo się zmienia w momencie, kiedy jestem jurorem. Oczekuję na doznania na luzie, ale też wnikliwie oglądam spektakle. Nie przeżywam emocji związanych ze startem w konkursie. Ale też nie jestem zimnym obserwatorem, czy krytykiem. Można mnie porwać i oczarować przedstawianym światem. Jako osoba pracująca na co dzień z młodzieżą mam ogromną cierpliwość – wiem, jak trudno jest wydobyć z młodzieży ich ekspresję i że to nie jest proste. Dlatego będąc jurorem, mam dużą wyrozumiałość. Szanuję pracę każdego instruktora, staram się dostrzegać każdy postęp, każdy krok do przodu. Nawet jak coś nie wyjdzie – konkurs to trochę jak loteria. Trzeba mieć tak naprawdę dystans, tego na początku się nie ma – ani gdy się startuje, ani gdy się jest jurorem. Trzeba wiedzieć, że konkurs jest to takie wydarzenie, że w jakimś miejscu spotkały się jakieś zespoły, że tego dnia, nie wczoraj, nie za miesiąc usiadła (z dużym szacunkiem) jakaś komisja i postanowiła, że ten i ten zasługują na pierwsze, drugie i trzecie miejsce, a gdyby było więcej nagród, to może to byłyby dwa drugie, albo dwa trzecie... Dzień później, w innym mieście, młodzież zagrałaby inaczej. Stąd potrzeba dużej pokory, żeby przyjąć z godnością taki werdykt, bez żalu. Do werdyktu konkursowego trzeba podejść jak do sędziowskiego – na temat werdyktu się nie dyskutuje! Jeżeli ja przyjeżdżam i startuję w konkursie, staram się wydobyć z tej sytuacji wszystko, co najlepsze, i dalej się rozwijać. I wtedy nawet porażka jest bardzo dobrą rzeczą, ponieważ tak naprawdę ona wzmacnia.

Jak Pani widzi, jestem jednością i choć raz jestem oceniana, a innym razem oceniam, to trudno jest mi rozdzielić te dwie funkcje. Będąc jurorem, zachowuję część artysty, w tym wypadku instruktora-reżysera-pedagoga, kiedy natomiast poddaję się ocenie, jestem pełnoprawnym partnerem do dyskusji, osobą mogącą podjąć rozmowę na temat tego, co stworzyłam.

Paweł Błażewicz

Zapomniana „profesja” Mikołaja Kopernika

Rok 2013 jest wyjątkowy. Zbiega się w nim szereg ważnych dla regionu rocznic. Już 28 lipca minie 770 lat od momentu, kiedy w 1243 r. legat papieski Wilhelm z Modeny dokonał podziału misyjnej diecezji pruskiej na nowe diecezje. Decyzję tę 30 lipca 1243 r. zatwierdził papież Innocenty IV. W ten sposób rozpoczęła się piękna i skomplikowana historia jednej z podstaw naszej współczesnej regionalnej tożsamości: diecezji warmińskiej. Trzeba też wspomnieć, że obchodzimy także jubileusz 660-lecia lokacji stolicy regionu – Olsztyna.

Jednak rok 2013 to przede wszystkim rok Kopernika – człowieka, którego myśl zmieniała nie tylko perspektywę, z jakiej patrzymy na Ziemię, ale przede wszystkim zburzyła wszystkie dotychczasowe koncepcje na budowę świata. Z dumą wypada podkreślić, że Kopernik czterdzieści lat życia związał z Warmią, a mimo jedynie kilkuletniego pobytu w Olsztynie uznany jest za jego najznajmniejszego mieszkańca.

Kumulacja rocznic kopernikańskich jest ogromna: 540. rocznica urodzin oraz 470. rocznica śmierci i pierwszego wydania dzieła *De revolutionibus*. To nagromadzenie rocznic spowodowało, że rok bieżący został uznany Rokiem Kopernika i to nie tylko przez samorząd województwa warmińsko-mazurskiego, ale także kujawsko-pomorskiego. O doniosłości tego jubileuszu świadczy również fakt, że obchody „Roku Mikołaja Kopernika 2013” swym patronatem objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

W roku jubileuszu kopernikowskiego jego imię i nazwisko odmienia się przez wszystkie przypadki. Ciągłe podaje się je z dodatkowymi określeniami: astronom, lekarz, kanonik, Europejczyk itd. Potrzeba tworzenia związków z Kopernikiem jest tak duża, że niektóre ośrodki tworzą własne kopernikowskie legendy, czyniąc jubilatą budowniczym swoich wodociągów, twórcą kanapek, czy ogrodnikiem sadzącym pamiątkowe drzewa.

Co dziwne, wśród licznych prawdziwych i fantastycznych przymiotów kopernikańskich określenie „ekonomista” należy do tych najrzadziej podawanych. Sprawia to wrażenie, jakby o ekonomicznych zasługach Kopernika chciano zapomnieć. Czy słusznie? Chyba nie, gdyż w ekonomii, zaraz obok astronomii, pamięć o Koperniku trwa najdłużej, a wypracowane przez niego prawo do dnia dzisiejszego stanowi kanon i jeden z filarów ekonomii.

Oddając zatem jubileuszowy hołd Mikołajowi Kopernikowi, postaramy się przybliżyć, co go w ekonomii zajmowało i jak doszło do tego, że nasz Warmiak łączony jest z Brytyjczykiem Greshamem.

Okres najaktywniejszych dociekań ekonomicznych Kopernika przypada na lata 1517-1526/1528. W tym czasie Koper-



Kopernik Ekonomista (Medal Kopernikowski ze zbiorów MWiM). Fot. G. Kumorowicz

nik przygotował kilka wersji traktatu dotyczącego pieniądza, jego teorii i ogólnych zasad gospodarki. Traktat ten pozostaje głównym pismem ekonomicznym Kopernika, w którym znajduje się całkowity wykład jego koncepcji.

Jeżeli idzie o ekonomiczne zainteresowania Kopernika, trzeba zauważyć, że musiały wynikać z wszechstronnych zainteresowań astronoma, jego akademickiego matematycznego przygotowania, a przede wszystkim z codziennych zainteresowań i obowiązków. Z całą pewnością czynnikiem zbliżającym go do zagadnień finansów było pochodzenie z kupieckiej rodziny i aktywne uczestnictwo w zjazdach pruskich, których wiodącym zagadnieniem były sprawy monety.

Głównym powodem działań ekonomicznych Kopernika był kryzys gospodarczy. Prusy w tym czasie borykały się z poważnym problemem podatkowym i monetarnym spowodowanym rywalizacją ekonomiczną Prus Królewskich i Zakonnych. W obiegu było 17 monet o różnej zawartości kruszcu (9 dobrych i 8 złych). Wszystko to powodowało problemy rozliczeniowe, zalew rynku pieniądzem lichym oraz upływ z rynku monety dobrej.

Kopernik, rozpoczynając swe działania ekonomiczne, podszedł do zagadnień pieniądza jak do problemu matematycznego. Kolejne wersje jego teorii – podawane w kolejnych pismach – były niczym matematyczne zadanie, które Kopernik zamierzał rozwiązać. Trzeba pamiętać, że Kopernik do wszelkich analiz podchodził w sposób matematyczny. Dokonywał wprawdzie analizy obrachunkowej, a następnie weryfikował ustalenia. Taki umysł do ekonomii nadawał się idealnie, wszak ekonomia to nauka na wskroś matematyczna. Początkiem ekonomicznych analiz Kopernika były *Rozmyślania* (*Meditatia*, 1517). Pismo to stanowiło swoiste zestawienie ówczesnych problemów ekonomicznych Prus. Pierwsza jego część poświęcona była zagadnieniom teorii pieniądza i prawideł nim rządzących. Część druga analizowała słabości systemu monetarnego dzielnicy, podkreślając spadek wartości monety i przyczyny tego zjawiska. Konspekt ten przeznaczony był dla biskupa warmińskiego F. Łuzjańskiego oraz kapituły na zjazdu stanów Prus Królewskich, które poświęcone były reformie monetarnej.

Kolejnym etapem – a zarazem kolejną częścią ekonomicznego równania Kopernika – było pismo *O szacunku dla monety*

(*De etimatione monete, Modus cudendi monetam*, 1522). Ta wersja traktatu została przygotowana na potrzeby posłów pruskich na Zjazd Stanów Pruskich, w którym uczestniczyli przedstawiciele Korony. Tę wersję prezentował Kopernik w głośnym wystąpieniu na zjeździe dnia 21 marca 1522 r. w Grudziądzu. To właśnie ten traktat stał się podstawą do koncepcji utworzenia jednej mennicy dla całej dzielnicy pruskiej i określenia jasnych zasad unii monetarnej z Rzeczpospolitą. Wystąpienie to było niczym rozwiązanie pierwszej z niewiadomych, które pozwalały rozwikłać problem ekonomii Prus.

Szczytem rozwoju ekonomicznych zainteresowań Kopernika i pełnym rozwinięciem jego teorii był traktat z 1526/28 r. *De monete cudende ratio* (*O sposobie bicia monety*). Tekst ten jest pełnym rozwiązaniem koncepcji ekonomicznej Kopernika. Rozpoczyna się od ukazania negatywnych skutków psucia pieniądza, owocującego ubożeniem społeczeństwa, drożyzną i upadkiem rzemiosła oraz handlu. W dalszej części Kopernik przedstawia rozwiązanie problemu. Elementami zaradczyimi miały być w tym wypadku ustanowienie jednej mennicy i ujednolicenie systemów monetarnych w Koronie i w Prusach. Wiazać się to miało z wprowadzeniem nowej monety: „Gdy zaś zgola nieodpowiednie jest wprowadzić monetę nową i dobrą, kiedy w obiegu pozostaje nadal stara gorsza – o ileż tu bardziej poblądzono, kiedy do dawnej, lepszej monety, pozostawionej w obiegu, wprowadzono nową gorszą, która nie tylko zaraziła dawną, ale, że tak powiem, z obiegu ją wypędziła” – pisał Kopernik. Prawo monetarne miało być wprowadzone jednogłośnie ustawą. Sztywny miał być udział srebra w monecie: z funta czystego srebra miało być wybite dwudziestogroszowych 20 grzywien.

Mimo trafnej analizy procesów rynkowych Kopernik opierał się o zasady ekonomii dobrze znane w jego czasach. Zdecydowanie opowiadał się za określeniem wartości pieniądza za pomocą wartości kruszcu. Rozróżniał przy tym w pieniądzu wartość (*valor*) i szacunek – wartość szacunkową (*estimatio*). Dzięki temu mógł określać kilka niezależnych funkcji pieniądza, uważając go za miernik wartości dóbr, środek obrotu ekonomicznego oraz środek tezauryzacji (skarb budujący zamożność).

Kopernik nie wyszedł poza ustalenia ekonomii swoich czasów – to dzięki wielopłaszczyznowej analizie problemu systemu monetarnego Prus stworzył jedną z najpełniejszych koncepcji ekonomicznych. Co więcej, każdy gimnazjalista proszony o krótką charakterystykę Kopernika jest w stanie podać dwuwiersz o wstrzymaniu Słońca i ruszeniu Ziemi, i ekonomicznym prawie „złego pieniądza: pieniądz gorszy – wykonany z gorszego kruszcu, wypiera z obiegu pieniądz lepszy – mający większą wartość”.

Na zakończenie wypada wyjaśnić jeszcze obecność drugiego nazwiska – Greshama – w nazwie prawa. Otóż Thomas Gresham (1519-1579) był angielskim finansistą. Prowadząc swe obserwacje, doszedł do wniosku, że pieniądz z mniejszą ilością wartościowego kruszcu wypiera z rynku pieniądz bardziej wartościowy. Podobnie jak ekonomiczne pisma Kopernika jego teoria stała się znana szerszemu gronu dopiero pod koniec XVII w. Ponieważ obie teorie powstały od siebie niezależnie i w podobnym czasie, uznano je za równoważne, obu twórców upamiętniono w nazwie.



Hagiografia o przekraczaniu miary

Miarą „świętości” częstokroć jest szacunek, miłość, podziw, tajemnica, czasem nawet inność, czy niedostępność. W końcu „niektórzy rodzą się świętymi, inni zdobywają świętość, jeszcze innym świętość jest narzucona”¹... Św. Dorota z Mątów² nie należy do panteonu najbardziej znanych świętych. Jest wręcz nieomal nieznaną, oczywiście poza miejscami lokalnego kultu, czyli m.in. na ziemi kwidzińskiej. Trudno więc przypuszczać, aby wielu spośród zaangażowanych w religię czy historię mieszkańców Warmii i Mazur wiedziało, iż ta zaciekla w pobożności ascetka należy – prócz powszechnie znanych świętych Wojciecha i Brunona z Kwerfurtu³ – do patronów naszego regionu. Przy czym miarą jej świętości była może nawet nie tyle asceza, co właśnie owa zaciekłość...

Błogosławiona urodziła się jako Dorota Schwartze 25 stycznia 1347 r. w Groß-Montau⁴ w Prusach, w licznej rodzinie. Jej ojciec pochodził z Holandii. W wieku 16 lat poślubiła starszego od siebie o 20 lat mieszczanina Adalberta (czyli Wojciecha), któremu urodziła dziewięcioro dzieci. Mieszkali w Gdańsku. Mimo dostatku materialnego młoda kobieta miała bardzo trudne życie: Adalbert był dla niej brutalny, a ośmioro z ich dzieci zmarło podczas epidemii. Po śmierci męża w 1390 r. udała się do niemieckiego Marienwerder⁵, gdzie zamieszkała w małym pomieszczeniu o jednym oknie wychodzącym na prezbiterium miejscowego kościoła, drugim zaś – na zewnątrz, rozpoczęła życie rekluzy. Tam też – po 14 miesiącach podobnej egzystencji – zmarła 25 czerwca 1394 r., prawdopodobnie na skutek niezwykle surowo praktykowanej ascezy. To jednak nie wszystko: do żywota Doroty można dodać kilka niecodziennych historii – jak choćby pewna przepowiednia, interesująca z punktu widzenia polskiej historii. Jak powiadano, tuż po klęsce Krzyżaków pod Grunwaldem w 1410 r. kolejny po słynnym Ulryku von Jungingen Wielki Mistrz Zakonu, Henryk von Plauen, po śpiesznym przybyciu do twierdzy w Malborku zaczął jednocześnie – przygotowując się do odparcia polskiego ataku – wznosić modły do Doroty, by uchroniła Malbork przed najeźdźcą. W noc przed przybyciem wojsk Jagiełły błogosławiona przysłała się Henrykowi, obiecując mu nadprzyrodzone wsparcie w bitwie, tak skuteczne, że Malbork z pewnością nie ulegnie. Cena tej obietnicy była dość niezwykła – Wielki Mistrz miał w zamian zarządzić, aby grób dla niego przygotowano nie tylko w innym miejscu niż Malbork, ale do tego w tak tajnym, iż przez następne 600 lat pozostanie nieznaną. Przepowiednię kończyły słowa, że „nadejdzie jednak dzień, kiedy następcą Wielkiego Mistrza przybędzie na wezwanie Błogosławionej Doroty i z należyłą godnością

uczci pamięć poprzedników”⁶. I rzeczywiście – w 2006 r. podczas prac archeologicznych w katedralnych kryptach w Kwidzynie znaleziono groby trzech wielkich mistrzów krzyżackich: Wernera von Orseln, Ludolfa König von Wattzau oraz oczywiście Henryka von Plauen. Drugim podaniem związanym z osobą Doroty jest... polska legenda literacka. Prawdopodobnie bowiem to właśnie owa ascetyczna tercjarka stanowiła pierwowzór zamurowanej w wieży krzyżackiego zamku Aldony, bohaterki *Konrada Wallenroda* Adama Mickiewicza. Jak widać, Dorota z Mątów jest mostem, który łączy Polskę, a ściślej Warmię, z Niemcami, stanowiąc kolejny wspólny element złożonej, bogatej i częstokroć trudnej polsko-niemieckiej historii i kultury. Jej wspomnienie liturgiczne (25 czerwca, w dzieńną pamiątkę śmierci) to tzw. wspomnienie obowiązkowe w kościołach archidiecezji warmińskiej (oraz gdańskiej) i diecezji elbląskiej, jak również bywa obchodzone w niektórych diecezjach niemieckich oraz – oczywiście – przez Zakon Krzyżacki.

Poniekąd pretekstem tej całej historii jest wydana w 2012 r. w Olsztynie księga (426 stron!) Jana z Kwidzyna pt. *Żywot Doroty z Mątów*, przetłumaczona przez warmińskiego biskupa ks. Juliana Wojtkowskiego. Jan z Kwidzyna (1343-1417) był dziekanem kapituły katedralnej pomezkańskiej, człowiekiem mądrym i poważanym z racji wspaniałomyślnego serca. Jego hagiografia „czcigodnej pani Doroty” to poniekąd materiał źródłowy, niezwykle cenny, gdyż autor jako spowiednik znał błogosławioną, mógł ją obserwować oraz z nią rozmawiać. Duchowny okazał pustelnicy wiele zrozumienia (m.in. zezwolił na częste – wbrew ówczesnej praktyce – przyjmowanie komunii świętej), po pewnym czasie wręcz uznając ją za mistyczkę. Zaś aby upewnić się w tym przekonaniu, przez rok nawet prowadził wraz z doktorem prawa kanonicznego Janem Raymanem specjalne badania w tym celu – i wtedy w zgodzie z własnym sumieniem, mimo iż tak skrajna asceza jak Doroty była przez Kościół katolicki postrzegana raczej negatywnie (przynajmniej oficjalnie), utrwał na piśmie słowa i wizję rekluzy. Jan z Kwidzyna był świetnym biografem, chciał bowiem niczym prawdziwy naukowiec „słowa Doroty jak najdokładniej oddać nieskażone”⁷. Jednocześnie okazał w ten sposób uszanowanie jej zaciekłości w praktykach umartwiania – w celu uzyskania doskonałości – swego ciała. Biblia nakazywała pościć w odpowiednich dniach (również metaforycznie – w zakresie szeroko rozumianych rozrywek cielesnych), czy ćwiczyć zbyt rozleniwione ciało skromnością otoczenia, niewygodnymi ubiorami oraz dobrze ukierunkowaną pracą, sugerując przy tym jednocześnie poniekąd zasadę złotego środka. Ludzie średniowiecza jednak niczym olimpijczycy chcieli więcej, szybciej, mocniej. Chcieli przekroczyć świętą równowagę w ascezie, tworząc nową miarę

¹ Anthony de Mello

² Synonimiczne jest dopowiedzenie „z Mątówów”

³ oraz Andrzeja Apostoła i Andrzeja Boboli

⁴ Mątowy Wielkie, woj. pomorskie; w l. 1975-1998 r. woj. elbląskie

⁵ Kwidzyn, woj. pomorskie; w l. 1975-1998 r. woj. elbląskie

⁶ <http://plaziki.com/lata/2012/89.php> (dostęp: 2013-06-06)

⁷ Wprowadzenie // W: *Żywot Doroty z Mątów* / Jan z Kwidzyna. - [Olsztyn : 2012]. - S. 13.

DIE SELIGE DES PREUSSENLANDES



GEBET ZUR SELIGEN DOROTHEA

Pilgerin und Bettlerin Gottes, ohne Haus und Heimat, freiwillig arm aus Liebe zu Jesus, erlebe uns die Gnade, in aller Verlässlichkeit und Blöße, in allen bitteren Schicksalen und Zulassungen des Vaters Willen zu sehen, inbrünstig zu lieben und in der Trübsal geduldig auszuharren, um zu führen in Ihm, durch Ihn und mit Ihm, der unsere Sühne, Rettung und Heimat ist

69

zdobywania zbawienia. I to też na przykładzie bł. Doroty utrwalił w swoim dziele Jan z Kwidzyna: pochwałę heroizmu wyniszczenia dla ideału, zaciekleści w wywoływaniu bólu, męstwa w cierpliwości. *Żywot* to apoteoza przekraczania miary – czy wręcz miar!

Obecnie lubimy przekraczać miary – ale nie w tę stronę. Jak więc pojąć ówczesne pragnienie zadreżniania się? Z drugiej strony, pewien rozdział znajdujący się na końcu *Żywota...*, „Modlitwa o uproszenie zrozumienia tej księgi”, poniekąd sugeruje, że i wówczas idea ascezy nie do końca była oczywista. Słowo to pochodzi z języka greckiego (*aktesis*) i oznacza po prostu „ćwiczenie”. W praktyce asceza stanowiła najczęściej zadawanie sobie cierpienia psychicznego (np. przez odpowiednie rozmyślenia) oraz w szczególności cielesnego, aby udoskonalić (wyćwiczyć) duszę i ciało – czyli paradoksalnie wzmocnić. To oznaczało głodówkę (a przynajmniej ograniczanie smacznego pożywienia lub picie wody zamiast innych napitków), dążenie do samotności, długie sesje

modlitwy oraz wymierzanie sobie kar cielesnych – często bardzo przemyślnych. Oczywiście niezwykle istotny w tym wszystkim był aspekt pokutny – ludzie doświadczali się w ten sposób, pokutując za grzechy, wyprasząc boskiego przebaczenia innym, ofiarowując się za różne sprawy globalne. Praktykowano również, aby upodobnić się do umęczonego Chrystusa oraz by przypodobać się Bogu. Jak powszechnie podkreślano, wszystko, co trudne, czyniono z miłości. Asceza była więc miarą głębi wiary, miarą mocy charakteru, miarą siły odrzucenia tego, co nietrwale, na rzecz tego, co wieczne. Ostatecznie owo ścisłe umartwianie się miało być również przynętą dla łaski boskiej oraz gwarancją zbawienia. Stanowiło więc miarę pewnego typu manipulacji Bogiem...

Ascezę kategoryzowano jako cielesną i duchową oraz łagodną i surową. Ta ostatnia oznaczała m.in. wysiłek fizyczny, noszenie włosienicy, spożywanie wyłącznie chleba i wody, stałe pozostawanie w zamknięciu, unikanie światła, bicowanie się albo innego typu sprawianie sobie bólu. To wszystko właśnie praktykowała Dorota. Można odrzucić ascezę jako miarę niewspółmierną do obecnych czasów, jako folklor, ciekawostkę, przeszłość, ale kogóż nie poruszą noty o życiu wewnętrznym Doroty ze szczegółowego kalendarium opracowanego przez nieocenionego Jana z Kwidzyna? Czytaj tedy, duszo, a rozważ głęboko – bez miary:

1352 – Za przykładem matki Dorota [ma 5 lat – uwaga A.R.] ćwiczy niektóre umartwienia, codziennie odmawia *Ojcze nasz* i *Wyznanie wiary* oraz współczuje ubogim (...).

1353.02.06 (około) – (...) przystępuje w Środę Popielcową po raz pierwszy do spowiedzi. Rozpoczyna surową ascezę z silnej miłości; czuwania nocne, posty, unika biesiad, zaczyna karcenia, przed wszystkimi ukrywa swoje rany. (...) Jej spokój (równowaga ducha) już wtedy daje się zauważyć (...).

1355 – (początek) zaczynają się diabelskie pokusy przeciwko ufności Bogu. Ponieważ Dorota nie ma kierownictwa duchowego, uważa samą siebie za winną i surowiej się umartwia. Jednocześnie czuje się pociągana w górę silną tęsknotą. Tęsknota jest jednym z podstawowych jej wyrazów (...).

1393.05.02 – Uroczyste zamknięcie Doroty w pustelni katedralnej. Dorota nie ma ani smaku, ani snu. Rezygnuje z kąpeli i wody do mycia, chociaż lubi schludność. Ma za to kąpiel też (...).

1393.08.15 – Nic na ziemi nie może jej już zadowolić (...).

1394.06.25 – Dorota (...) umiera samotnie przed zachodem słońca z powodu „miłości rozrywającej serce”.

Jan z Kwidzyna, *Żywot Doroty z Mątw, z krytycznego wyd.* Hans Westphal Annelise Birch-Hirschfeld-Triller, Bhlau Verlag Kln Graz, 1964 przet. Julian Wojtkowski, Olsztyn, 2012.

Kupcy znów protestują

historia

Ogłoszenie, które komitet protestacyjny zamieścił 1 września 1927 r. w popularnej, codziennej gazecie „Allensteiner Volksblatt”, przyniosło zamierzony efekt. Sala hotelu „Kopernikus” nabiła była po brzegi. Na spotkanie przybyła większość kupców ze Starego Miasta, radni, przedstawiciel rejencji, a także bardzo wielu zwykłych olsztynian. Wszystkich połączył niepokój o centralny plac miasta. Kilka miesięcy wcześniej rada miejska podjęła decyzję o rozbudowie Starego Ratusza i dostawieniu doń nowego skrzydła, przeznaczonego dla miejskiej biblioteki. Obecnie słowo zaczęło stawać się ciałem, północną stronę Rynku odcięty od reszty placu ogrodzenia, przystępowano do zrywania bruków i prac ziemnych.

Kupcy prowadzący handel w przyrynkowych kamienicach obudzili się trochę po niewczasie, mieli jednak nadzieję, że wciąż jeszcze można zmienić bieg wydarzeń. Niezadowoleni powołali komitet protestacyjny. Jego przewodniczący, właściciel drogerii Hesse, przedstawił zgromadzonym przedmiot sporu. Obawiano się zmniejszenia powierzchni placu rynkowego, ograniczenia możliwości wjeżdżania na Rynek i w końcu zniesienia jego funkcji targowej. W odczuciu kupców troską władz miasta powinno stać się tymczasem powiększenie placu oraz działania zmierzające do jego handlowego ożywienia. Należy z tego powodu nie tylko zrezygnować z rozbudowy Starego Ratusza i przerwać rozpoczęte już prace, lecz rozważyć również możliwość wyburzenia owej niepotrzebnej nikomu budowli.

W trakcie rozpoczętych pertraktacji jako ekwiwalent za zmniejszenie Rynku władze miasta obiecały jedynie przełożenie linii tramwajowej na zachodnią stronę Starego Miasta. Nie było to nic nowego. Od lat planowano poprowadzić tramwaje Targiem Rybnym, miasto po kolei wykupywało tu domy. Obawy kupców oceniono jako niedorzeczne, wnioski jako całkiem spóźnione. W liście, który w imieniu magistratu odczytany został zebraniem, podkreślono wyjątkowe znaczenie, jakie dla kultury w Olsztynie będzie miało uruchomienie supernowoczesnej biblioteki. W połączeniu ze zmianami komunikacji powinno ono tylko poprawić ruch i życie gospodarcze w centrum.

Stanowisko magistratu nie uspokoiło dyskutantów. Podnoszono obawy o ukrytą chęć wyeliminowania cotygodniowych targów z Rynku. Choć nikt tego wyraźnie nie artykułował, kupcy obawiali się utraty wiejskiej klienteli. Zmniejszenie powierzchni placu mogło, zdaniem niektórych, zniechęcić chłopów do odwiedzin na Rynku i wystawiania tu swych produktów. Groziło to zwyżką

cen, która mocno uderzyłaby „po kieszeni” nie tylko gospodynie domowe, ale i wszystkich olsztynian. Do tego nie można było dopuścić. Z sali padały wezwania: „Precz ze Starym Ratuszem!” Proponowano nawet – rzecz wśród tutejszej ludności niebywała – by protest wzmocnić odmową płacenia podatków. Bunt zyskał aplauz. Zebrani przyjęli rezolucję, w której jednomyślnie potępił decyzję o przebudowie Starego Ratusza. Zażądano natychmiastowego wstrzymania prac i ponownego rozpatrzenia celowości podjętej przez miasto inwestycji. Dla dalszego poprowadzenia sprawy powołana została komisja, w której oprócz dziesięciu radnych znalazł się m.in. członek magistratu, szanowany kupiec August Lubowski.

Kilka dni później w prasie ukazał się artykuł miejskiego radcy budowlanego Sauera. Projektant biblioteki bronił jak lew swe go dzieła, tłumaczył jego architektoniczne i urbanistyczne walory, polemizował z przeciwnikami. „Chciałbym na wstępie zauważyć – pisał – że nie dążę koniecznie do zabudowania wszystkich placów, co przy tej okazji, podobnie jak w bardzo spornej kwestii budowy pawilonów przed gmachem sądów, usiłuje mi się zarzucać”. Twierdził, że zawsze najważniejszy był dla

niego cel zasadniczy projektu, względy urbanistyczne i komunikacyjne, nie pominął też troski o wolną przestrzeń, zieleni, miejsca odpoczynku i zabawy. Odnosząc się do Rynku, zwrócił uwagę, że harmonię placów tworzą ściany otaczające je zabudowy. Ład przestrzenny zachowany jest tylko tam, gdzie udało się utrzymać jedność elewacji i właściwe proporcje budynków. Ich gzymsy i szczyty powinny układać się w jedną linię. „Jak pięknie w dawnych czasach musiał wyglądać nasz ukochany przez wszystkich Rynek! A teraz? Dzika nierówna zabudowa. Domy wyskakują jeden ponad drugi, od dwóch do pięciu pięter, obrzydliwe ściany ogniowe tną płaszczyznę dachów,



które miejscami jest spadzista, miejscami znów płaska i zupełnie niewidoczna. Pomijając pojedyncze domy podcieniowe, ze starego, dobrego wizerunku placu rynkowego nic już właściwie nie pozostało". Jedynym jego elementem jest jeszcze Stary Ratusz. Stojący

Olsztyn. Targ na Rynku, połowa lat 20. XX w.



obok domek mleczarni, płot i stare drzewo nie są jednak w stanie wyeliminować istniejącej tu dysharmonii. „Hakowaty” narys budowli nie jest spójny z prostokątnym kształtem Rynku. Obiekt, a wraz z nim plac, odzyskać mogą symetrię dopiero przez dobudowę nowego skrzydła, które połączone zostanie ze starym podcieniowym gankiem. Służąc komunikacji, wydzielili on wewnętrzny dziedziniec, a dodatkowo nawiązywać będzie do zabudowy otaczającej niegdyś Rynek. Projektant jeszcze raz przypominał, co mieścić się będzie w nowej budowlu. Skrzydło

to zająć miała wzorcowa biblioteka, w której poza pomieszczeniami administracyjnymi umieszczone zostaną sale wypożyczalni, czytelnicy ogólnej oraz prasy, a także magazyn na 8-20 tys. woluminów. Na dziedzińcu znalazłoby się miejsce dla punktu sprzedaży mleka, a w starym skrzydle zachodnim tak niezbędny tutaj nowoczesny publiczny szalet. O wykorzystaniu pomieszczeń Starego Ratusza zdecydowano by w dalszej kolejności. Całość otrzymać miała ujednolicone, kolorowe elewacje. Architekt podkreślił, że tak nowoczesnego obiektu nie będzie posiadał nawet Lipsk, miasto książki.

Gazeta otrzymywała również listy, których autorzy polemizowali ze stanowiskiem architekta. W ich odczuciu Rynek nie nadawał się na plac budowy. Mieszczanie zmęczeni byli nieustającą ofensywą inwestycyjną. „Nie zarzucamy personalnie radcy Sauerowi, że zmierza on do przebudowy wszystkich placów – pisał anonimowy rzecznik protestujących – ale to właśnie na co dzień musimy tutaj przeżywać. Dzieje się to na placu, któremu pod względem urbanistycznym nie można odmówić znaczenia”. Padły zarzuty, że plac zamieniony zostanie w komunikacyjne rondo, a projekt nie został wcześniej publicznie przedstawiony, ponieważ najpewniej pociągnęłoby to za sobą sprzeciwy mieszkańców.

Protestujący dopięli swego, ale wypadki potoczyły się już nie po ich myśli. Na nadzwyczajnej sesji rady miejskiej zwołanej 9 września 1927 r. obecnych było 29 radnych. Magistrat reprezentował burmistrz Haubold, radcy Ziessler, Funk i Lubowski oraz architekt miejski Sauer. Obrady prowadził przewodniczący rady miejskiej Wronka. Większa niż zwykle liczba przysłuchujących się sesji świadczyła, że protest rozpałił emocje. Niestety, radni zaczęli je niebawem studzić. Reprezentujący Demokratów radny Dambrow-

ski zaproponował wprowadzić rozważenie wyburzenia Starego Ratusza, nie znalazł jednak poparcia. Ujawniono, że protestujący kupcy urządzili zbiórkę pieniężną. Gdyby władze zdecydowały się rozebrać zabytkową budowlę, a bibliotekę wzniesiono by w innym miejscu (np. na pl. Beliana), gotowi byli wyłożyć 20,5 tys. marek. Architekt Sauer owym pomysłem stanowczo zaoponował. Biblioteka powinna znajdować się w centrum miasta. Stary Ratusz posiada wartość historyczną, a Rynek bez niego wyglądałby dość ponuro. Po wprowadzeniu Szkoły Handlowej i przebudowie można by urządzić tu sale wystawowe. Obiekt miał wciąż mocne mury, przebudowa bardziej kalkulowała się więc, aniżeli rozbiórka. Radny Neumann (Centrum) zwrócił z kolei uwagę na niebezpieczeństwo utraty państwowych dotacji. Olsztyn stracił już w ten sposób 300 tys. marek na budowę szkoły zawodowej, fundusze powędrowały do Elbląga. Rynkowi kupcy kierowali się w jego opinii wyłącznie własnym interesem. Podobnego zdania był komunista Schulz oraz radny Zjednoczenia Gospodarczego, Roensch. Ten ostatni podkreślił, że budynek biblioteki, dla którego trzeba będzie poświęcić „domek mleczny” i kandelabr stojący w północnej części placu, zajmie ok. 250 m² powierzchni, a więc miejsca dla 12, góra 15 wozów. Protest także pod tym względem jest więc bezzasadny. W głosowaniu, które zamknęło obrady, tylko czterech radnych – dwóch socjaldemokratów, jeden demokrat i jeden radny volkistowski – poparło protestujących. Wniosek niezadowolonych przepadł.

Stary Ratusz z nowym skrzydłem, mieszczącym Bibliotekę Miejską. Lata 30. XX w.



Gdyby uczestnicy owego pamiętnego sporu mogli dziś zobaczyć staromiejski Rynek, wielu z nich nie kryłoby zaskoczenia. Katastrofa, której tak bardzo obawiali się kupcy, nastąpiła. Furmanki zniknęły z placu. Handel przestał tu dominować. Zadowolony byłby na pewno architekt Sauer – jego dzieło wciąż stoi, służąc celom, dla jakich zostało kiedyś stworzone. Mógłby on mieć satysfakcję jeszcze z innego powodu. Z pewnością zachwyciłaby go forma, w jakiej po 1945 r. odbudowane zostało Stare Miasto. Prawie wszystko zostało tu poprawione, poszerzone, wyrównane. Na Rynku miejsce chaosu zajęła wreszcie harmonia.

Dlaczego więc tak bardzo tęsknimy za tamtym, innym Olsztynem, miastem ze starych pocztówek?

RZEŹNIA LITERACKA

*Zwycięzca Rzeźni Literackiej nr 5 2013
w kategorii POEZJA:*

Wojciech Kobus

Niecierpliwe zwierzęta krążą wokół mojego materaca,

Pytam ich:

Ile wytrzymałbym uderzeń batem?

Ile czasu płonąłbym na stosie?

Ile gwoździ musieliby we mnie wbić, żebym stracił przytomność?

No ile, skoro to wszystko jest sprawą istot myślących.

Zamykam oczy z przeświadczeniem, że nie muszę odbierać tego
każdym zmysłem

Asymetria ramion pozwala na to, bym, wstając, odczuwał obez-
władniające uklucie,

Ponownie przykuwające do pikowanej tkaniny

Bronię się, a wystarczyłoby otwartymi ramionami zaprosić je do
środka.

*Zwycięzca Rzeźni Literackiej nr 5 2013
w kategorii PROZA:*

Tobiasz Martynik

Zespół nabytego niedoboru odporności. Usłyszałem o nim, mając siedem lat, w chwili, gdy Daniel z „Klanu” zaraził się HIV. Następnie dowiedziałem się, że igły leżące na placach zabaw, za garażami, pod mostami to śmiertelne miny. Świat nie był już taki sam. Nie było wody i ognia, dnia i nocy, szczęścia i nieszczęścia. Był świat ze strzykawkami pozostawionymi przez zaćpanych nosicieli HIV i świat bezpieczny, wolny od tej strasznej choroby. Strach przed śmiercią mieszkał wszędzie. W wieku dziesięciu lat, huśtając się na oponie, poczułem uklucie. Byłem przekonany, że ktoś wbił igłę ze skażoną krwią w huśtawkę. Histerię pomogła mi opanować mama, tłumacząc, że uklucie spowodowało zbrojenie opony. Róże i inne

krzaki nie miały już kolców, lecz igły. Uklucie stało się dla mnie sygnałem, że moje życie może być zagrożone. Należało odnaleźć źródło klucia i przeanalizować, czy mogłem zostać nosicielem. Pielęgniarka, fryzjer, publiczne toalety – przestały dla mnie istnieć. Kontakty z „zahifioną” służbą zdrowia zamieniłem na bogate zbiory Wikipedii. W ciągu kilku miesięcy zebrałem wiedzę, której nie powstydziliby się internista. Włosy strzygła mi matka – nożyczkami, których odkażaniem zajmowałem się osobiście. Publiczną toaletę zastąpił krzak, ciemny kąt lub latarnia. Na osiemnaste urodziny sprawiłem sobie najwspanialszy z możliwych podarunków – test na obecność wirusa. Był to akt desperacji; aby krew została pobrana – musiałem zgodzić się na umieszczenie igły w ciele. Do głowy przychodziły mi natrętne myśli, czy pielęgniarka nie zapomni wyrzucić ostatnio używanej strzykawki i czy nie będę kluty po jakimś ćpunie. Jeszcze większy problem pojawił się w trakcie rozmowy z psychologiem przy wypełnianiu ankiety przed badaniem. Pani psycholog wyglądała na kilka lat starszą ode mnie. Wierście lub nie, ale czasami człowiek spotyka dziewczynę i wie, że to ta jedyna. Nie umiem dokładnie opisać jej wyglądu, ale według mnie jest najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem... Jej głos, skóra, spojrzenie, jej ruchy, gesty – to wszystko sprawia, że moje serce bije tylko dla niej... Wracając do tematu – chciałem mieć pewność, że moja próbka krwi nie będzie w żaden sposób pominięta i będzie sprawdzona najlepiej, jak to możliwe. Tak więc w ankiecie wykreowałem się na biseksualistę, który nie szczędzi sobie kontaktów seksualnych. Narkotyki były dla mnie niczym chleb powszedni, nocie zaś spędzałem na niekontrolowanym spożywaniu alkoholu i uprawianiu seksu z dziwkami.

W celu zachowania równowagi psychicznej kontroluję się co trzy miesiące. Są to dla mnie najszcześniejsze chwile w życiu ze względu na możliwość przebywania w towarzystwie tej uroczej istoty, a jednak łamią mi serce, ponieważ nie mam odwagi jej nigdzie zaprosić, nie umiem powiedzieć ani jednego miłego słowa. Jakie szanse u takiej kobiety ma ćpun, gej, męska dziwka, alkoholik, ja. W pewnym momencie życia wirus HIV stał się moim Bogiem – sprawiedliwym, hojnym, okrutnym. Sprawiedliwym, bo sięga po bogatych i biednych. Białych i czarnych. Młodych i starych. Ma twarz Frediego Mercurego, który wyssał śmierć z kutasa, i ciało małego murzynka, który wyssał śmierć z piersi matki. Hojnym – bo dał mi posmakować miłości. Okrutnym – ponieważ nie pozwolił, aby moje uczucie zostało odwzajemnione. Mój Bóg każe kochać jedną kobietę duszą i ciałem. Chce, abyśmy byli silni, nieugięci. Mówi nam, że szczęście zawarte w strzykawce to iluzja dla słabych – ludzi pozbawionych wiary w siebie i w świat. To dzięki temu Bogu jestem tym, kim jestem. Dobrym człowiekiem z umysłowym AIDS.



Pokój

- Kiedy otwierają się drzwi – szepce głos, który zawsze unosi się gdzieś w zatęchłym powietrzu Pokoju – to tak, jakbym zamykało oczy.

A później cichnie wszystko, co nie jest ciszą. Po chwili przestaje pachnieć wszystko, co miało jakikolwiek zapach. I gasną światła. A kiedy już ostatnie światło zgaśnie, choć to może здаwać się dość irracjonalne, gaśnie ciemność.

Dopiero w ostatniej sekundzie cichnie nawet cisza, bo cisza, wbrew pozorom, nie jest tym, za co ją zwykliśmy brać. O nie, cisza to coś zupełnie innego. Zupełnie.

I w końcu przekraczasz próg.

Jesteś wewnątrz. Nim się zorientujesz, drzwi się za tobą zamkną i będziesz przez chwilę szczęśliwy. Nim się zorientujesz.

Pokój jest zawsze gdzieś pomiędzy. Gdzieś na pograniczu światów... Skrada się cicho, jak na drapieżnika przystało, i czeka. Dla niepoznaki potrafi nawet zapodziać się między dwa oddechy. Ale tam bywa jedynie przez chwilę i właściwie nie można tego udowodnić, więc to trochę tak, jakby to nie była prawda.

Zresztą nieistotne. Przecież ilu ludzi, tyle Pokoi...

Rzecz po prostu w tym, że z Pokojem jest jak z duszą. Wszyscy o nim słyszeli, ale nikt się nie przyzna, że widział.

Więc kiedy ona otworzy z hukiem drzwi i wmaszeruje do środka, rozpocznie się kolejna opowieść, ale jakby pierwsza jednocześnie. A wmaszeruje tam przez zupełny przypadek i dokładnie tak, jak powinna to zrobić mała, rezolutna dziewczynka. Na jej włosach i twarzy pozostanie wspomnienie łodów truskawkowych, które płaśzowała, idąc przez jeszcze ciężkie snem hotelowych gości korytarze. Była obca i samotna. Choć może raczej sama, nie samotna.

To różnica. Jej intuicja nauczyła się już ją dostrzegać.

Nie goniła za żadnym króliczkiem, nie przeszła na drugą stronę lustra. Nie ukluła się wrzecionem i nie zgubiła pantofelka. A nawet gdyby, to i tak nie skojarzyłaby tego z żadną bajką. Bo w jej słowniku zabrakło słowa „bajka”.

I chociaż miała ze sobą brudną lalkę bez głowy, a na nogach czerwone baletki, to tak naprawdę nic to wszystko dla niej nie znaczyło, bo nie umiała jeszcze czytać między wierszami.

Jedyne, co wiedziała na pewno, to – to, że wiele się jej tylko wydaje.

Jej rodzice często zapominali. Najczęściej odbierać ją z zajęć

dodatkowych. Trzeba przyznać, że to bywało kłopotliwe. Zwłaszcza, że nie знаła za wielu przydatnych słów.

Nie wiedziała na przykład, co znaczy „kot”, choć zawsze pragnęła mieć „zwierzątko”, nie miała pojęcia, co to „wolne popołudnie”, nie słyszała nigdy, więc nie rozumiała, „ładnie” i nie umiała sobie wyobrazić, jak wygląda „Dom”.

Зnała za to doskonale „walizki” (zawsze w liczbie mnogiej, bo pojedyncza nie wystarcza na długie podróże zwykle w jedną stronę), w kilku językach europejskich umiała powiedzieć „nie dotykaj”, ale najbardziej ze wszystkiego lubiła „lody”. Kiedy więc zrozumiała słówko „truskawkowe”, rozpięła ją duma.

Od zawsze wiedziała też, co znaczą: „klucz”, „drzwi”, „tajemnica” i „bezsenność”.

Kiedy dorośnie, nie zmieni się nic w jej słowniku. Jeśli dorośnie, nie zmieni się nic w jej świecie. Jedyne jej będzie nieco więcej. Ale też nie za wiele.



Beata Kolakowska, litografia, 2013



I teraz powoli zaczynasz się denerwować...

O czym to właściwie jest?! Na bajkę nie wygląda.

Fakt.

To nie jest bajka. I z pewnością nie dla małych, grzecznych dzieci. Możesz nie czytać dalej. Wcale nie dlatego, że z pewnością nie jesteś już małym, grzecznym dzieckiem.

Nie czytaj, bo

(i tak to się powinno skończyć)...

Ale Pokój zawsze wydaje się zamknięty na klucz i kusi tym z każdą chwilą bardziej.

A dziurka od klucza jest wielka i przez otwór przeciekała dziwna smuga niby-światła. On zawsze czeka.

A ona w zasadzie pomyliła drzwi. Ale procedura była właściwa. Zdjęła klucz z szyi, pomyślała – „nie powinnam tu istnieć” i włożyła do dziurki. Później poszło gładko.

Kiedy weszła do wnętrza, ogarnęło ją nieprzyjemnie uczucie czyjejś obecności.

Zatęchłe powietrze objęło jej ciało łapczywie. Drzwi same się za nią zatrzasnęły.

W Pokoju panowała jeszcze zima, a ponieważ jej Pokój nie posiadał sufitu, podłoga zasypana była delikatnym śniegiem i było po prostu pięknie. Przypomniało jej się, że nie zabrała parasola. Bo przecież mogłaby mieć biały parasol i pod nim ukryć się w którymś z kątów Pokoju, i zerkać, bezpieczna, na cud nagle odkrytego świata.

I mogłaby w ogóle tam nie wchodzić, chociaż wtedy nie mielibyśmy o czym teraz czytać.

Mogłaby sobie nadal nie znać większości przydatnych słów, mieć rodziców, którzy nie pamiętają, i podróżować stale w jedną stronę. Tylko po co?

Wcale nie chciała uciekać z Pokoju. Raczej oczy jej rozbłyły, a początkowo nieprzyjemne uczucie okazało się wręcz dreszczem ekscytacji, kiedy się nad tym głębiej zastanowiła. Ktoś szepnął jej do ucha kilka miłych słów...

Może i w jej przypadku Pokój był nieco okrutny, ale prawdę powiedziawszy, to ona zdecydowała. Mimo wszystko.

No więc weszła tamtego ranka gdzieś, gdzie z założenia nie powinny wchodzić małe dziewczynki. Pewnie, gdyby od razu zaczęła jej szukać, ale...

To nie jej wina, że знаła tak mało przydatnych słów, a składane z nich zdania tworzyły jej świat raczej w tonacjach szarości. I to nie

jej wina, że nikt tego poranka nie prowadził jej za rękę do właściwego pokoju hotelowego.

I tak weszła z szarego świata do magicznego Pokoju i zobaczyła, że na środku stało łóżko, a ona przecież była już wyjątkowo zmęczona. Było co prawda trochę jak szpitalne. (Drzwi i tak nie dałaby rady otworzyć, nie było sensu próbować).

Może nawet nieco więcej niż trochę.

Zielonkawę, wytarte obicie, które miało kiedyś przypominać skórę, groźnie czekało na ciężar jej ciała.

Może nawet przez chwilę poczuła się zaniepokojona.

Ale przecież to wrażenie, że świat nagle stał się inny! Nie, to nie mogło być nic złego!

Na łóżku żadnej pościeli. Tylko tabliczka na ramie.

Może nawet trochę się zaczęła bać, kiedy poczuła czyjś oddech na swojej szyi, ale szybko się uspokoiła.

To w końcu nie byłby pierwszy raz. Jakoś to znieśie.

Gdyby w Pokoju był lekarz, chciałby zapewne napisać na tej tabliczce przy łóżkowej ramie jej imię, nazwisko, może nawet wiek. I zbadać. Odetchnęła z ulgą, że w Pokoju nie było lekarza. Przecież musiałaby się przyznać. I uczucie ulgi, nagłego bezpieczeństwa silniejsze było niż jakiegokolwiek strach. Podeszła ostrożnie do łóżka i drżąc od chłodu, i emocji, dłonią nieśmiało dotknęła zimnego metalu ram.

Kątem oka zobaczyła pięknie oprawiony notatnik przypięty białym puchem.

Kiedy się po niego schyliła, dostrzegła, że pod śniegiem w Pokoju są jeszcze inne rzeczy. Mnóstwo rzeczy. Zapomnę rzeczy.

Nagle coś zaszeleściło w zacienionym kącie Pokoju, więc spłoszona tym niespodziewanym ruchem zerknęła tam czujnie. Nie do końca była przekonana, czy bardziej bała się, że jest tam ktoś, czy może, że nikogo tam nie będzie.

Mniej więcej w tamtej chwili fakt, że była sama, zaczął nieco zmieniać znaczenie i skłaniać się bardziej ku samotności. Kiedy więc uspokoiła swoje serce na tyle, by usłyszeć myśli, a oddech się wyrównał i oczy wyraźniej dojrzały świat, ruszyła cichutko w stronę zacienionego kąta. Szelest powtórzył się jeszcze kilka razy, ale wciąż nie było widać niczego poza smugą ciemności. I kiedy była już całkiem blisko, a w niej zaczęła kielkować odwaga, w kącie Pokoju rozbłyły czyjeś oczy.

Dziewczynka nerwowo cofnęła się i skuliła w sobie, a szelest wezbrał na siłę.

Najpierw wysunęła się z cienia czarna falbanka u dołu strojnej bordowej sukni.

Chwilę później opinający szczupłą talię gorset i jasny dekolt, a zupełnie na końcu piękna, choć dziwaczna głowa z misternie upiętymi w kok włosami. Całość, choć dziewczynka w pierwszej chwili nie była w stanie zdać sobie z tego sprawy, tworzyła Delfinę de Brie.

Czy było to imię prawdziwe damy w sukni, nie dowiemy się prawdopodobnie nigdy.

Nie w tym jednak rzecz, a faktem jest, że tym właśnie imieniem przedstawiła się dziewczynce, lekko skłaniając ku niej, i zwinnym ruchem podbiegła do małej.

- Pani ma suknię jak leśne owoce – powiedziała ośmielona jej promiennym uśmiechem dziewczynka. A Delfina roześmiała się jeszcze dźwięczniej, wzięła ją za rękę i dobrodusznie szepnęła:

- Tak sądzisz, kochanie? – i chwyciła ją za rękę, delikatnie pociągając w drugi koniec Pokoju.

Dziewczynka nagle dostrzegła kominek, na którym płonął ogień, a przed nim dwa głębokie fotele. Nie trzeba wiele więcej, by zachęcić do odpoczynku, gdy wokół panuje sroga zima. Usiadły więc, a śnieg topniał, odsłaniając strojny dywan i drewnianą podłogę.

(Delfina nie miała zbyt dużego doświadczenia z dziećmi, ale zawsze pragnęła mieć córkę, czego nigdy nie ukrywała. Prawdopodobnie dlatego Pokój zwykł jej właśnie podsyłać małe dziewczynki).

Nie wiedzieć skąd, zapachniało gorącym kakao, a gdy Delfina zaczęła swoją opowieść, dziewczynce przyszła do głowy zuchwała myśl o szczęściu.

Kobieta położyła delikatnie swoją dłoń na główce małej. Palce, które wskazywałyby na umiejętności wirtuoza, wślizgnęły się we włosy dziewczynki. Do melodii słów zataczały palcami piruety na jej głowie, kołły myśli, zalewały ciało ciepłą falą pragnienia. Dziew-

czynka przymknęła oczy tylko na chwilę, a gdy je otworzyła, Pokój układał się już do snu. Brązowe cienie kładły się półmrokiem na wszystkie ściany, zima zniknęła bez śladu, a nad głowami królowało rozgwieżdżone niebo czerwcowej nocy. Fotele okazały się nagle wygodnym łóżem. Gdzieś zniknęły wszystkie niepokoje.

I nie straszło już chłodem szpitalne łóżko.

A Delfina, piękna Delfina de Brie, nuciła jej do ucha słodką kołysankę. Jej! O nie, już nie wróci. Nie ma po co. Tam nikt jej nie kocha. Nie tak mocno jak Delfina. Tam nikt nie szuka, nie czeka. A tutaj... jakże by mogła opuścić Delfinę. Przecież tyle jej zawdzięcza, jest jej winna miłość. Jest jej winna życie.

Bo przecież Delfina straciła kiedyś dziecko. Opowiedziała jej o swoim cierpieniu, a kto miałby zrozumieć, jeśli nie ona, dziewczynka, niekochana córka nie kochających rodziców, która pragnie jak niczego na świecie okazać się ważna.

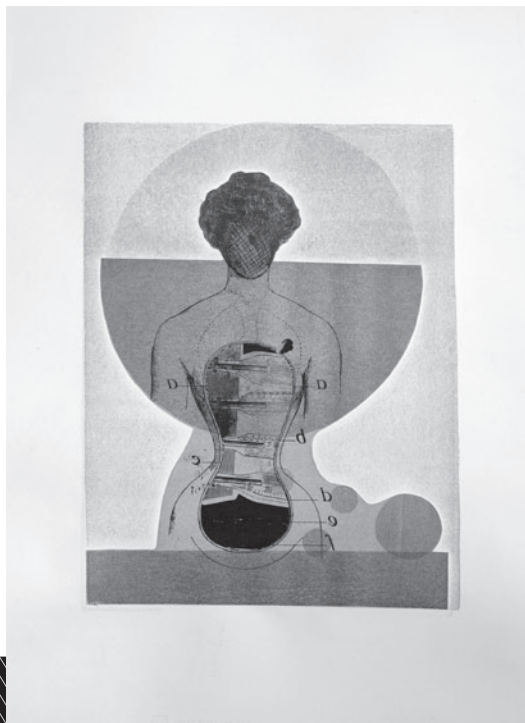
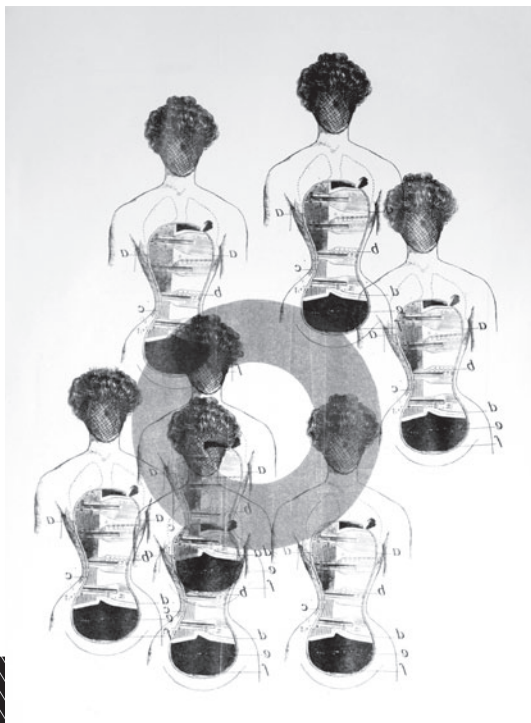
(Powoli sen odbierze jej wspomnienie koloru nieba. Zamarzną imiona i nazwiska, ucichną głosy dotąd znajome.) Nie będzie tęsknić. I tylko czasem wzrok jej umknie w stronę pozostałych dwóch kątów Pokoju. I mrok, który je spowija chłodem, skuje jej serce. Ale zawsze wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Delfina roztopi lód jednym pocałunkiem.

Tu nic ci nie grozi. Tu nad tobą czuвам, dziecko...

Szeptem obejmie we władanie każdą jej myśl. A kiedy już nadejdzie czas, tym samym szeptem upomni się o spłatę długu.

Lepiej niech ci się już więcej nie śni Pokój.

Zwykle z takich snów trudno się wybudzić.





Tam i tu. Nowe spojrzenie na dawną ilustrację

Wystawa „Tam i tu. Nowe spojrzenie na dawną ilustrację”, prezentuje kreacje artystyczne studentów, absolwentów i doktorantów Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu, które zostały zainspirowane starodrukami ze zbiorów Biblioteki Elbląskiej.



Olga Szczechowska, Bez tytułu, Akryl, cienkopis, płótno



Ewa Doroszenko, Prywatna kolekcja serc, Wydruk cyfrowy

Podczas realizacji dwóch projektów konserwacji zachowawczej zbioru druków od XV do XVIII wieku konserwatorzy Biblioteki Elbląskiej przejrzieli setki woluminów starych druków, natrafiając w nich na niezwykle piękne grafiki książkowe wykonane różnymi technikami (m.in. drzeworyty, miedzioryty). Najciekawsze z nich zostały sfotografowane i zaprezentowane artystom związanym z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zainspirowani przekazanymi obrazami twórcy (22 osoby) – reprezentanci różnych kierunków: Malarstwa, Rzeźby, Grafiki, Edukacji Artystycznej – wykonali prace z wykorzystaniem zarówno technik tradycyjnych (malarstwo sztalugowe i rysunek), jak i współczesnych technik wyrazu artystycznego (grafika komputerowa, kolaż, animacja, instalacja wideo). Wystawa „Tam i tu” wskazuje na to, że ilustracje sprzed kilkuset lat są nadal aktualne i mogą zaistnieć na równi z dziełami sztuki współczesnej. Ilustracje tworzą niesamowitą

Lichtenberg nova. Exp. electr. T. 1.

Iris Ps



Hanna Józefowska, Apteczka emocji, Obiekt



Marta Dziomdziora, Liber Quartus De Luna, Monotypia



Hanna Józefowska, Peep show, Wydruk cyfrowy

→ bazę inspiracji współczesnemu artyście – są bardzo oryginalne, zadziwiające i poruszające wyobraźnię widza. Wielość przedstawionych tematów, różnorodne sposoby rozwiązań i przedstawień, odkrywcze spojrzenie na świat to tylko niektóre cechy, które wzbudziły zainteresowanie biorących udział w wystawie artystów. W zbiorze sfotografowanych grafik ze starych druków Biblioteki Elbląskiej każdy z artystów znalazł coś dla siebie. Jedni skupili się na przedstawieniach roślin z zielników, inni na atlasach zwierząt, kosmologii czy medycynie. Wystawa „Tam i tu” była prezentowana w Galerii Spatium Novum w Bibliotece Elbląskiej, Galerii Stary Ratusz WBP w Olsztynie oraz w MBP w Morągu.

Opracowanie tekstu: Biblioteka Elbląska



dr Izabela Lewandowska

Warmiński Dwugłos

– rozmowy o Warmii w bibliotece UMK w Toruniu



9 maja 2013 r. z okazji święta bibliotekarza i bibliotek Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu oraz Koło Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich przy BU UMK zorganizowały spotkanie pt. „Warmiński Dwugłos”. Była to dyskusja prof. dr. hab. Huberta Orłowskiego (http://pl.wikipedia.org/wiki/Hubert_Orłowski) z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu z Edwardem Cyfusem (http://leksykonkultury.ceik.eu/index.php/Edward_Cyfus), znawcą Warmii, na temat tradycji, tożsamości i przeszłości tego regionu. Spotkanie poprowadziła dr Izabela Lewandowska (www.izabela-lewandowska.pl) z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie.

Hubert Orłowski urodził się w Podlejkach, geograficznie należących do Mazur, ale w rodzinie warmińskiej, która w XIX w. zasiedliła tę wioskę jako kolonię Gietrzwałdu. Z wykształcenia jest germanistą, literaturoznawcą, badaczem stereotypów i semantyki historycznej. Jest profesorem UAM w Poznaniu, członkiem Polskiej Akademii Nauk, rektorem Wyższej Szkoły Języków Obcych w Poznaniu, autorem wielu publikacji poświęconych literaturze i kulturze niemieckiej oraz stosunkom polsko-niemieckim, tłumaczem, redaktorem renomowanej serii wydawniczej *Poznańska Biblioteka Niemiecka*. Spod jego ręki wyszło ponad 20 doktoratów, recenzował kilkadziesiąt prac doktorskich i habilitacyjnych.

Edward Cyfus urodził się w Dorotowie na Warmii, w rodzinie matki Warmiaczki i ojca Mazura, ale od dzieciństwa związany był z rodziną matki, żyjącą w Wymoju, gm. Stawiguda. Jest piewcą

gwały i zwyczajów warmińskich, działaczem regionalnym, autorem bestsellerowych wspomnień oraz wielu książek poświęconych tradycji i kulturze regionu.

Izabela Lewandowska, urodzona w Grudziądzu, a więc osoba napływową, Warmiaczką z uміłowania, a nie urodzenia, historyk-regionalista, pracownik naukowy UWM w Olsztynie, autorka wielu prac poświęconych tematyce dziedzictwa kulturowego oraz historii Warmii i Mazur.

Spotkanie miało na celu przedstawienie różnego pojmowania Warmii i Warmiaków jako społeczności etnicznej. Panelistom postawiono kilka pytań: „Jaka jest genealogia Pana rodziny? Od kiedy Pana rodzina mieszka na Warmii? Co to znaczy dzisiaj być Warmiakiem? Czy ci, którzy się tutaj urodzili już po wojnie, mogą się nazywać Warmiakami? Jakie są według Pana typowe cechy Warmiaka? W czym się przejawiała warmińskość? Czym jest dla Pana Warmia?” i inne.

Wnioski z dyskusji były nad wyraz ciekawe. Otóż dla prof. Orłowskiego Warmia jest stanem duchowym, który przechowuje w sercu. Każdy może czuć się Warmiakem bez względu na to, czy się tu urodził, czy też nie. O tej krainie profesor napisał dwie odrębne prace: *Warmia z oddali. Odpominania*, Olsztyn 2000 oraz *Rzecz o dobrach symbolicznych. Gietrzwałd 1877*, Olsztyn 2005. Nie są to prace naukowe, ale zbiory refleksji o miejscu i symbolice, osobiste wspomnienia i odpominania.



Fot. Maciej Mierzejewski

Właśnie ten ostatni termin prof. Orłowski wprowadził do literatury i konsekwentnie się nim posługuje.

Dla Edwarda Cyfusa Warmia jest krajem dzieciństwa, rodzinnych wspomnień, ale też kraikiem mocno doświadczonym przez dzieje, a Warmiacy ludem pobożnym, pracowitym, rodzinnym i mającym swoiste poczucie humoru. Cyfus także mówi, że każdy może nazywać się Warmiakiem, o ile tylko posiada te cechy. Jego książki cechuje autentyzm oparty na wspomnieniach rodziny, znajomych i własnych doświadczeniach, ale też docieklivość prawdy. Napisał trylogię warmińską *A życie toczy się dalej* (t. 1 – 2003, t. 2 – 2006, t. 3 – 2010), a ostatnio książkę o zwyczajach i tradycjach, głównie kucharskich, pt. *Moja Warmia*. Jest też popularyzatorem gwary warmińskiej. Już w l. 1999-2003 publikował w „Gazecie Olsztyńskiej” systematycznie co tydzień *Gawędy w gwarze warmińskiej*, które jednocześnie czytał na antenie Radia Olsztyn. W 2000 r. wyszła książka *Po naszymu* stanowiąca zbiór 50 gawęd. W 2012 r. ukazał się (napisany wspólnie z I. Lewandowską) *Elementarz gwary warmińskiej. Rodzina, dom i zagroda*.

Obaj rozmówcy starają się badać i popularyzować region w swojej pracy zawodowej i pozazawodowej – na spotkaniach z młodzieżą, turystami, mieszkańcami regionu, Polski, a nawet zagranicy.

Prof. Hubert Orłowski w 2009 r. otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. W uzasadnieniu nadania tego tytułu napisano: „za wybitne osiągnięcia w

zakresie badań naukowych dotyczących kultury i literatury niemieckiej, szczególnie zagadnień życia literackiego w III Rzeszy oraz nad różnorodnymi związkami polsko-niemieckimi, w tym stereotypami narodowymi; za rozwój intelektualny trzech pokoleń germanistów polskich, w tym także studentów i naukowców pochodzących z Warmii i Mazur; za szerzenie i popularyzowanie wiedzy o historii i teraźniejszości rodzinnej Warmii, w Polsce i poza jej granicami”.

Edward Cyfus jest pomysłodawcą utworzenia symbolicznego przejścia granicznego między Warmią a Mazurami w miejscowości Łajs (gm. Purda); scenarzystą i realizatorem autorskiego programu TVP 3 Olsztyn *WARNIJO*, w którym prowadził wywiady, spotykając się z Warmiakami i osobami promującymi ten region; pomysłodawcą rekonstrukcji historycznej *Alei Biskupów* w Baldach, którym na Warmię przybywali nowo mianowani biskupi warmińscy; tłumaczem oryginalnych tekstów warmińskich do niepublikowanych 25 pieśni warmińskich Feliksa Nowowiejskiego dla filharmonii olsztyńskiej; autorem tekstów piosenek w gwarze do płyty *Hobaud* zespołu Shannon i płyty *Stoji łoseł kełe drogi* zespołu Babsztyl; tłumaczem tekstów na warmiński w trzech publikacjach komiksów Marcina Wakara i Jarosława Gacha.

Zarówno H. Orłowski jak i E. Cyfus kochają i szanują Warmię, choć ich losy i dzisiejsze działania są bardzo różne. Na spotkaniu mogli opowiedzieć o swoich książkach i osobiście porozmawiać z licznie przybyłymi czytelnikami.



Miara współczesności

Kiedyś zastanawiałem się nad kategorią, która najlepiej by oddała charakter współczesnego świata. Doszedłem do wniosku, że taką kategorią jest pojęcie miary, która stoi za takimi jego określeniami jak standaryzacja, ujednolicenie, system, produkcja towarowa, nauki ścisłe, technologie, gospodarka, pieniądz. Żyjemy po prostu w świecie miar, dzięki którym rzeczywistość jest wspólna dla wszystkich. To powszechne miary, które wszyscy używają w życiu, umożliwiają komunikację, przekazywanie informacji. Czyż słowa naszego języka nie są miarami społecznymi, za pomocą których porównujemy ze sobą różne zjawiska, próbując je opisać i przekazać o nich innym pewną wiedzę? Każde słowo można traktować jako miarę, za pomocą której określamy zjawiska, które chcemy odnieść do innych zjawisk. To dzięki słowom włączamy je w szersze konteksty społeczno-kulturowe, gospodarcze i techniczne, w których spełniają określone funkcje.

Czyż można sobie wyobrazić taśmę produkcyjną określonego towaru bez standaryzacji czynności jak i bez części, z których jest on tworzony? Na pewno nie. A czy standaryzacja nie opiera się na standardach jako wzorcowych miarach? Już starożytni Grecy, żeby posłużyć się tym klasycznym już stereotypem, pierwsi zaczęli używać miar w produkcji na skalę masową różnych towarów, w tym z dziedziny sztuk pięknych. W jakimś stopniu było to wynikiem wykorzystania do tej produkcji niewolników, których pracę ujednolicono, zredukowano do prostych, powtarzalnych czynności z użyciem pewnych miar. Współczesna technologia komputerowa wprowadziła kategorię kompatybilności oprogramowania, czyli jego takiej zgodności ze sobą, że umożliwia ona współpracę, współdziałanie. Czyż ta kategoria nie jest konkretyzacją funkcji realizowanych w różnych aspektach przez różne miary? Tylko dzięki wspólnym miarom ludzie nie tylko mogą się ze sobą komunikować, ale również współpracować, współdziałać, czyli tworzyć wspólnotę, społeczeństwo. Można bardzo ogólnie powiedzieć, że efektem stosowania miar jest tworzenie jedności wspólnoty, rzeczy, systemu, grupy, świata, rzeczywistości. To dzięki nim jedność czegoś jest tworzona i utrzymywana. Dlatego nie ma nic dziwnego w tym, że Grecy charakteryzowali miarę za pomocą jedności.

Nie można sobie wyobrazić współczesnej gospodarki bez funkcjonowania czegoś takiego jak pieniądz. A on nie jest niczym innym jak miarą wartości towarów oraz pracy i środków, które zostały włożone w ich wytworzenie. Pieniądz nie jest niczym innym jak tylko standardową, powszechną miarą tego, co można kupić lub sprzedać, wymienić na inny towar. To on tworzy jedność rynku określonej gospodarki. Czy współczesną technologię i naukę również da się charakteryzować za pomocą pojęcia miary? Komputery, odsłaniając informatyczny wymiar rzeczywistości, doprowadziły do tego, że kategoria informacji stała się dzisiaj tak samo podstawowa jak kategorie materii i energii. Informatyka na poziomie technologicznym ukazuje w pełni względność układów

czasoprzestrzennych, podważając praktycznie teoretyczne pojęcie absolutnego czasu i przestrzeni zdefiniowane przez Newtona. Efektem obiektywizacji formalizmu matematycznego przez klasyczną fizykę było nasze pojęcie masywnej materii, której rozciągłość była niczym innym jak tylko absolutyzacją nieprzenikliwości cielesnej, będącej w opozycji do przenikliwej dla wszystkich ciał przestrzeni. Ta zmysłowa nieprzenikliwość stała się klasyczną, absolutną miarą przestrzenności ciał, które nie mogły z tego powodu zajmować tego samego miejsca geometrycznego. Ta definicja miejsca za pomocą sugestywnej analogii zmysłowej doprowadziła do pomijania innych form współobecności obiektów względem siebie.

W opozycji do tej przestrzeni klasycznej mechaniki współczesna technika informatyczna operuje przestrzeniami, które można by określić jako układy synchronizacyjne, definiujące współobecność bytów pod pewnym aspektem, określanym przez pewne identyczności funkcjonalne. Musimy uznać, że podmioty i byty znajdują się w wielu czasoprzestrzeniach względnych, funkcjonalno-operacyjnych, czyli z natury skończonych, tak jak sama wiedza o nich. Tak naprawdę używamy jedynie różnych względnych przestrzeni – elektronicznych, symulacyjnych, wirtualnych w ramach instrumentalnie traktowanej wiedzy do realizacji praktycznych celów. Doprowadza to do uwieloznacznienia klasycznego pojęcia jednoczesności współistnienia wszystkiego pod każdym względem. Zawsze w wyniku stosowania technik informatycznych trzeba odpowiedzieć na pytanie: w jakiej przestrzeni logiczno-funkcjonalnej, komunikacyjnej i pod jakim względem są one dla siebie obecne? Nasza przestrzeń zmysłowa staje się teraz tylko jedną z wielu przestrzeni praktycznego orientowania się w otoczeniu ze względu na określone cele. Jej obiektywizacja za pomocą geometrii będącej podstawą klasycznej fizyki utrudniała do tej pory rozumienie jednoczesności istnienia w innych aspektach niż tylko w postaci zmysłowych analogii optyczno-dotykowych. Sama obecność bytów względem siebie ma przecież różne znaczenia, aspekty, które tylko w znaczeniu formalnym mogą być sprowadzone do jednego sensu zmysłowo-geometrycznego. Przestrzeń traci w ten sposób znaczenie metafizyczne na rzecz znaczenia funkcjonalno-technicznego, instrumentalnego. Obecność bytów jest teraz wyznaczona funkcjami, które one realizują względem siebie w pewnej całości. Ich tożsamość oraz różnice między nimi przestają być metafizyczne, wyznaczone jakąś swoistą ich substancjalną naturą. Stają się tożsamościami i różnicami funkcjonalnymi, wyznaczonymi przez pewien kontekst operacyjno-techniczny pewnej cywilizacji. Różne te obiekty i przestrzenie mogą się wzajemnie przenikać, zawierać bez żadnej kolizji, gdyż są one różnymi systemami synchronizacji zjawisk pod wieloma aspektami. Samo powstawanie i znikanie takich obiektów staje się jedynie procesem przekodowywania z jednej skali na drugą, z jednego układu do innego, przesyłaniem informacji z jednej lokalnej czasoprzestrzeni do drugiej.

Obecnie pojęcie miejsca jest definiowane poprzez odniesienie do jednej z wielu przestrzeni. Każda przestrzeń może być odniesiona do szerszej całości, która dla jej podmiotów nie ma charakteru przestrzennego, lecz raczej formalno-informatyczny. Coraz częściej posługujemy się różnymi czasoprzestrzeniami, funkcjonalno-informacyjnymi, komunikacyjnymi, czynnościowo-operacyjnymi, technicznymi, formalno-logicznymi, cybernetyczno-wirtualnymi, symulacyjnymi. Dzięki temu spostrzegamy coraz większą liczbę sposobów współistnienia i współobecności obiektów pod wieloma różnymi aspektami.

Wraz z używaniem tych ograniczonych, względnych przestrzeni jesteśmy również zmuszeni do takiej samej relatywizacji pojęcia czasu. Względność czasu w informatyce można wyrazić najlepiej za pomocą kategorii symulacji lub pojęcia modelu symulacyjnego. Technologia różnego rodzaju symulatorów powoduje możliwość różniczenia między czasem realnym a czasem symulacyjnym, wirtualnym, który jest technicznie wielokrotnie powtarzalny. Ten czas jest czasem modelu symulacyjnego, tworzonego w symulatorze. W ten sposób mamy do czynienia z różnicą pomiędzy czasem linearnym, nieskończonym, uznanym za obiektywny, oraz czasem cyklicznym, symulacyjnym, który jest czasem skończonym. Jednak powyższa różnica nie jest już metafizyczna, czyli absolutna, a jedynie względna pomiędzy dwoma układami miar czasowych, z których jeden jest uznany za ostateczny, czyli zewnętrzny w danym przypadku. Czas cykliczny jest czasem lokalnym, ograniczonym przez miary czasu globalnego, zewnętrznego. Jego względność, jako jego skończoność, ukazuje się w jego cykliczności.

Ta względność czasu i przestrzeni w formie zobiektywizowanej wyrażana jest współcześnie za pomocą pojęcia świata możliwego, równoległego, alternatywnego itp. Najbardziej obrazowym przykładem tej względności czasoprzestrzennej są gry komputerowe, w których gracz porusza się po wielu poziomach różnych miejsc i czasów symulacyjnych.

W wyniku relatywizacji przestrzeni i czasów przez współczesną technologię powstaje pytanie o standardową miarę ich względności. Odpowiedź jest prosta. Jest nią informacja. To ona byłaby wyrazem istoty tego procesu, będąc łącznikiem tych wszystkich niewspółmiernych w sensie materialnym i energetycznym czasoprzestrzeni, które są za jej pomocą synchronizowane w pewien kompleks organizacyjno-technologiczny. Informacja zawsze odnosi materialne różnice i podobieństwa do różnic i podobieństw funkcjonalnych, czynnościowo-operacyjnych jako warunku możliwości przekodowania ich na różny materiał istniejący w różnych przestrzeniach funkcjonalnych. Dzięki informacji operujemy całkowicie formalnymi tożsamościami i różnicami, określanymi w sposób standardowy za pomocą pojęcia bitu. To one odnoszą do siebie różne przestrzenie techniczne, będąc ich wspólną miarą. Każda z tych przestrzeni jest obecnością względem różnych bytów, w pewnym przedziale czasowym jednoczesności ich trwania. Nie jest to już jednak obecność zdefiniowana optycznie lub dotyko-

wo. Jest to obecność funkcjonalna, a więc wyznaczona potrzebami struktur czynnościowo-operacyjnych pewnej techniki. Każdą przestrzeń techniczną można określić za pomocą pewnej pojemności informacyjnej, czyli ilości bitów potrzebnych do całkowitego jej przekształcenia na pewien zespół innych przestrzeni, które ją tworzą w sensie technologicznym. Pojemność informacyjna danej przestrzeni wyraża złożoność struktur funkcjonalnych, które ją generują jako pewien model symulacyjny procesów zachodzących w innych przestrzeniach. Wyraża się w tym równoważność formalno-techniczna czasoprzestrzeni z punktu widzenia procesów poznawczych podmiotów pewnej wspólnoty. Podmioty za pomocą informacji przekształcają je wzajemnie na siebie, w ramach jednego kompleksu technologicznego. Równoważność informacyjna czasoprzestrzeni jest możliwością zbiorowego wygenerowania każdej z nich przez resztę ich zbioru, oczywiście w ramach podobieństwa formalnego. Miarą względności tych czasoprzestrzeni jest właśnie informacja. Dzięki niej powyższe czasoprzestrzenie mogą się na siebie nakładać, przenikać, będąc oczywiście czymś innym dla siebie oraz dla innych czasoprzestrzeni. Można by powiedzieć, że informacja jest miarą podobieństwa różnych czasoprzestrzeni pod względem czysto formalnym, a nie materialnym, czy też energetycznym. W ten sposób staje się miarą synchronizacji tych różnych czasoprzestrzeni lokalnych w czasoprzestrzeń globalną pewnego nadrzędnego systemu informacyjnego. Takie rozumienie informacji narzuca pewien model widzenia świata. Można powiedzieć, że promuje rzeczywistość fraktalno-holograficzną, będącą efektem upodabniania się do siebie różnych jej części pod względem formalnym w celu maksymalnej realizacji funkcji informatycznej wobec całości. Inaczej rzeczywistość byłaby poliuniwersum, czyli zbiorem różnych światów, kosmosów, których kontakty przyczynowo-skutkowe byłyby pomijalne w sensie praktycznym. Czyż nie do takiego obrazu rzeczywistości stosuje się brzytwa Ockhama, która mówi, że nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę? Nie, jeżeli uznamy, że światy te posiadają relacje informatyczne. Inaczej ujmując, można powiedzieć, że są dla siebie modelami symulacyjnymi, które przekazują wzajemnie wyniki powyższych symulacji w postaci określonej informacji, dzięki której podlegają wzajemnej synchronizacji poprzez upodobnienie struktur formalno-funkcjonalnych.

Geneza kategorii miary tkwi w świecie greckim, o czym można się przekonać, czytając na przykład dialogi Platona. Filozof w pewnym miejscu stwierdza: „Umiejętność posługiwania się **miarą** dotyczy wszystkiego, co istnieje, to jest właśnie to, co się teraz powiedziało. Mierzeniu bowiem podlega w jakiś sposób każdy przedmiot każdej umiejętności”¹. Kategoria informacji, która powstała we współczesnym świecie w wyniku rozwoju technologii komputerowej, to obecny ostateczny efekt rozwoju kategorii miary w cywilizacji europejskiej.

¹ Platon, *Polityk*, [w:] *Dialogi*, t. 2, przeł. oraz wstępami i objaśnieniami opatrzył Władysław Witwicki, Kęty: „Antyk”, 2005.

Anita Romulewicz

Bajki to nie są jakieś tam zmyślenia..., czyli Pam-Pam dobry, Pam-Pam zły

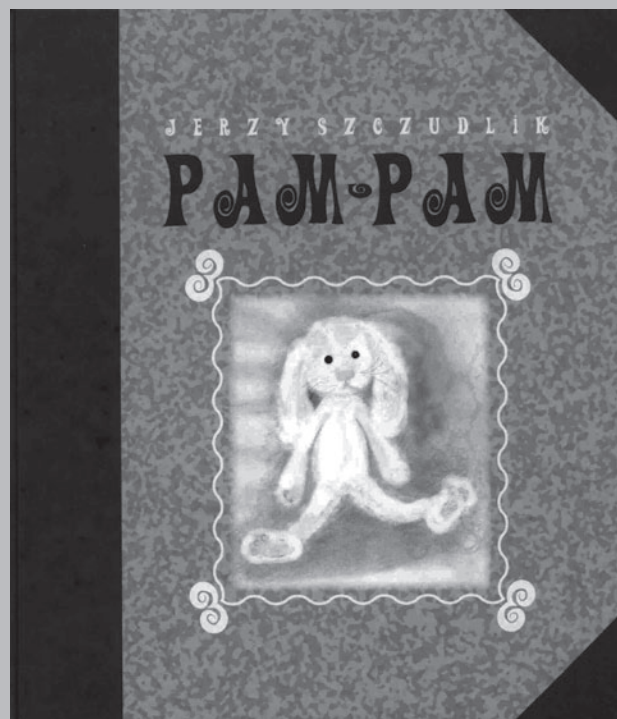
Gdybyśmy zapytali przypadkowego czytelnika, czym są baśnie, pewnie odpowiedziałby nam, że to takie nieprawdziwe historie, gdzie bohaterami są królowny, czarownice albo smoki. No i oczywiście są w nich czary-mary. Ale już pytaniem „czym w takim razie są bajki” – z pewnością wprawilibyśmy go w zakłopotanie. Przeciętny odbiorca tego rodzaju literatury najczęściej nie zdaje sobie sprawy z różnic gatunkowych, kryteriów i wyznaczników, którymi operują filolodzy czy literaturoznawcy. Jemu historia podoba się lub nie. Dlatego najczęściej można usłyszeć w tonie zdumienia: „A to nie to samo?”.

Otóż bajki i baśnie, podobnie jak legendy i podania, mają swoje cechy wyjątkowe, wyróżniające je, jak choćby baśniowy początek: *Dawno, dawno temu...* Co zatem myśleć o historii, która zaczyna się od słów: *Niedawno, niedawno temu...* Tak swoją opowieść rozpoczyna Jerzy Szczudlik, pisarz z Łupatychu koło Olsztyna, który na swoim koncie ma już wiele książek dla dorosłych. W 2012 r., nakładem wydawnictwa ElSet, ukazała się natomiast jego pierwsza książka dla dzieci. *Pam-Pam*, bo o niej mowa, podobnie jak wydana rok później kontynuacja pt. *Pam-Pam-Pam*, nawiązuje do konwencji baśniowej i sporo z niej ma w sobie. Jednak klasyczną baśnią nie jest. Autor czerpie także – świadomie bądź nie – z bogactwa form bajek. W jego książce widać również wpływy znanych klasyków twórczości dla najmłodszych.

Narracja prowadzi czytelnika do świata kilkuletniej Mai. Małą dziewczynkę – jak wielu innych bohaterów bajek literackich – otacza tylko pozornie świat realny. Wiele w nim bowiem gadających zwierząt czy ożywionych zabawek, które jak tytułowy pluszowy królik, „wszystko czego potrzebują do życia, mają zaszyte w brzuskach”.

Sporo w tej opowieści bajania i spontanicznej gawędy o typowym ludowym rodowodzie. W utworze wyczuwa się pewnego rodzaju improwizację. Poszczególne etapy przygód Pam-Pama są jak następujące po sobie historie wymyślane ot choćby przez dziadka, który z wnukiem na kolanach tworzy z wyobraźni własną dobranockę.

Sednem opowieści wydaje się natomiast pewne zdanie zawarte w książce: „Trzeba wam wiedzieć, że prawdziwe bajki to nie są jakieś tam zmyślenia, tylko same życiowe mądrości”. A na jaką mądrość pragnie zwrócić uwagę Szczudlik? Na pewno na znaczenie przyjaźni i to tej szczerzej, prawdziwej, bo tylko taka ma moc ratowania z opresji. Autor w tym celu kreuje dwie antagonistyczne postaci – Pam-Pama złego, odpowiedzialnego za porwanie małej dziewczynki, i Pam-Pama dobrego – dzielnego niczym baśniowy



rycerz ratujący królową. To on z poświęceniem fragmentów swojego śnieżnobiałego futerka, narażając się na ostre zęby Lisa Rudasa i pokonując długą drogę, odnajduje Maję, by cieszyć się jej bliskością i czułością. I jak w wielu baśniach dobro zwycięża nad złem, a prawda tryumfuje nad fałszem. Pluszowe futerko bohatera królika zostaje zacerowane i szczęśliwy koniec wieńczy czas świętowania. Jedynie lis, który choć przykładowie wypełnił w tej historii swoją symboliczną rolę odwiecznego wroga, naiwnie, bo właściwie bez przyczyny, dał się namówić autorowi na wegetarianizm.

Jerzy Szczudlik swoją książkę wyraźnie osadza w formalnych konwencjach baśniowo-bajkowych. Czerpie też inspirację z literatury dziecięcej. Nic w tym zdrożnego, bo jeśli uczyć się, to od najlepszych. Ważne, by wzory nie przyćmiły własnej wyobraźni. Nie da się jednak uniknąć na przykład skojarzeń między tajemniczym chińskim sprzedawcą, który znika w dziwny sposób wraz ze swoim sklepem, a równie zagadkowym doktorem Paj-Hi-Wo z *Przygód Pana Kleksa* Jana Brzechwy. Również jedna z przygód Pam-Pama prowadzi naszego pluszowego bohatera do króliczej nory. Okoliczności zdradzają nad wyraz oczywiste związki z książką Carla S. Lewisa *Opo-*

Co pod żaglami? Książka oczywiście!

wieści z Narni. Czy mówi wam coś opis: „gospodarz odsunął szafę, w której wisiały zimowe futerka całej króliczej rodziny i ich oczom ukazało się wejście do tunelu”? Oczywiście prowadził on na małą leśną polanę, gdzie Pam-Pam spotkał przyjazne, szare króliki, które zaoferowały pomoc. Nie mogłam się oprzeć natrętnemu wrażeniu, że stała na tej polanie lampa, wokół której sypał delikatnie śnieg. A tak na marginesie, łatwo się pogubić w mnogości królików występujących w tym utworze.

Z całą pewnością na uwagę zasługuje warstwa językowa książki. Warto choćby zauważyć, że w tekście nie występują żadne dialogi między bohaterami, natomiast rolę dominującą pełni dorosły narrator. Opowiada on w sposób dojrzały o świecie widzianym oczyma dziecka (i jakby w jego imieniu). To połączenie daje zaskakujące poczucie oryginalności, a jednocześnie przywołuje na myśl rewolucyjną dewizę polskich poetów – Juliana Tuwima i Jana Brzechwy, aby mówić do dzieci jak do dorosłych i traktować je równie serio. W *Pam-Pamie* dziecko jest ważne, mówi prawdę (w swoim wyobrażeniu), nawet gdy zmyśla, fantazjuje. Jest mądre w swej mądrości, choć może ciągle się dziwić i mylić. Myśli inaczej niż dorośli, lecz równie wartościowo. Z perspektywy wychowawczej książka może budzić w dziecięcym czytelniku poczucie własnej wartości i znaczenia. Tendencję tę podkreślają ponadto walory poznawcze i estetyczne książki. Autor hojnie wykorzystuje bogactwo polskich przysłów, licząc na świadomy odbiór młodego czytelnika. Na przykład przygoda z Sójką, która od lat wybiera się za morze, może być doskonałym materiałem ilustrującym przysłowie. Jest też i „wywoływanie lisa z lasu”, zabawa „w kotka i myszkę, czy raczej w lisa i królika”, a także możliwość „bycia w siódmym niebie”, „choć nie było się ni w szóstym, ni w piątym”. O tym zaś, że przez autora przemawia poeta, świadczą zabawy słowem. Szczudlik o oczach bardzo niebieskich pisze – „niebieskoniebieskie”, zaś mówiąc o sprawach niemożliwych, posługuje się sentencją: „Nawet najszybszy biegacz świata nie zdoła dogonić odlatującego samolotu”. Należy mieć nadzieję, że bardzo młody czytelnik będzie zdolny docenić starania autora, w tym zdanie: „Mądrzy ludzie mają mądrych przyjaciół”. Z całą pewnością natomiast trafi do dzieci humor. Jego źródłem są m.in. gry językowe, jak np. króliki płacące norkowe rachunki czy leśny królik będący jeszcze „w lesie” z techniką komputerową itd.

Pam-Pam to książka zaskakująca. Z jednej strony jest mocno osadzona w tradycjach literackich, od baśni począwszy, z drugiej zaś wprowadza oryginalne elementy, o których wartości przesądzi z czasem sam czytelnik. Jest m.in. jedną z nielicznych pozycji na rynku książki polskiej, która porusza temat rodzin „migracyjnych”, międzynarodowych, oddalonych od siebie odległością mierzoną lotami samolotów. Klimat dystansu, tęsknoty i sentymentu podkreślają swoją eterycznością niezwykle ilustracje. Ich autorka – Olena Dudała – stworzyła galerię małych dzieł sztuki, które zasługują na indywidualną uwagę, szczególnie portrety Pam-Pama o oczach wylaniających się jakby z kłęбка puchu. Warto podkreślić, że książka już zdobyła nominację do literackiej nagrody Zielonej Gąski za 2012 r.

Jerzy Szczudlik, *Pam-Pam*, Olsztyn, ElSet, 2012.



Co warto czytać? Na to pytanie raczej nie będzie odpowiedzi w nowym programie TVP Olsztyn pt. „Książka pod żaglami. Cyfrowe rejsy z Warmii i Mazur”. Tu nikt nie poucza i nie wciska pedagogicznego kitu, nie tworzy hierarchii literackich i nie buduje wielopiętrowych konstrukcji czytelniczego wtajemniczenia. Tu się mówi raczej o tym, że w ogóle warto czytać. Ocalić czytanie. A zatem nie „co”, ale po co – dla przyjemności, frajdy, dla poznania czegoś nowego lub głębszego zrozumienia czegoś starego, dla dreszczu emocji, dla wzruszenia, z tęsknoty, z ciekawości, z przyzwyczajenia, z potrzeby bycia człowiekiem. Tu Jan Wolek mówi o tym, jak poezja wietrzy głowę, a Grzegorz Turnau, że czytanie to rzecz niemal fizjologiczna, naturalna jak oddychanie. A zatem – żeby się nie udusić – czytać! Gdzie? Wszędzie, a więc jeśli chodzi o Warmię i Mazury – oczywiście pod żaglami. Bo żeglarze czytają i to sporo zadziwiających rzeczy, a czasem żeglarze także piszą, tak jak kapitan Tomasz Cichocki, samotnie opływający świat. Dwie prowadzące program – bardziej statyczna Joanna Wilengowska i bardziej kinetyczna Lidia Piechota – przemierzają więc region, odwiedzając mariny, plaże i pomosty. W tych wszystkich jeziornych i nadjeziornych okolicznościach przyrody spotykają się z czytelnikami (bo każdy jest przecież czytelnikiem lub potencjalnym czytelnikiem!), by rozmawiać o książkach, by książkami obdarowywać i by pokazać, jak bardzo czytanie łączy ludzi. Swoje miejsce mają w programie także biblioteki. Po raz kolejny (po poprzednich doświadczeniach programu TVP Olsztyn pt. „Bookriders”) okazuje się bowiem, jak niezwykle można się w bibliotece bawić, i to latem – na przykład w czasie Noc Kryminalnej w Rynie, w trakcie wakacji z żeglarzami – odkrywcami nowych łódów w Morągu, czy też w Planecie 11 w Olsztynie, zawzięcie tropiąc książki. O swoich lekturach w programie mówią m.in. miłośnicy ekstremalnego wakeboardingu, duzi żeglarze w maleńkich łupinkach optymistek czy słynny siatkarz plażowy Grzegorz Fijałek. A wśród dotychczasowych gości programu znaleźli się także: Elżbieta Adamiak, Jerzy Satanowski, Piotr Bukartyk, pisarze z Warmii i Mazur – Piotr Sender, Tomasz Białkowski, Paweł Jaszczuk, aktorzy Zbigniew Zamachowski i Wojciech Malajkat, poeta krakowski Bronisław Maj... A to dopiero półmetek zaledwie! Zatem zapraszamy do wspólnego rejsu pod banderą książki – w poniedziałki na antenie TVP Olsztyn, a o każdej porze na stronie internetowej TVP Olsztyn oraz na stronie programu na portalu Facebook (czyli twarzo-książce, nomen omen). Ahoj!

Projekt „Książka pod żaglami. Cyfrowe rejsy z Warmii i Mazur” powstaje dzięki dofinansowaniu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Program zawiera napisy dla osób niesłyszących. Partner projektu: Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie.



Leitkultur czy „Leichtkultur”?

Co dzisiaj jest miarą kultury narodowej?

W kontekście kultury narodowej dzieło sztuki nie istnieje samoistnie. Wartości artystyczne, które same w sobie są dyskusyjne, schodzą na dalszy plan, gdy mowa o budowaniu tożsamości narodowej. Analogicznie – zakochana para za „swoją piosenkę” uznaje tę, z którą wiążą ich pozytywne emocje, a doskonały poeta, skrzywdzony przez własny kraj, który krytykuje w wierszach, nie staje się „poetą narodowym”. Oczywiście są wyjątki – para melomanów, czy H. Heine – ale główna zasada pozostaje: tutaj liczą się emocje i polityka.

Przyjęło się mówić o kulturze narodowej jako o „dysponującej zespołem dzieł artystycznych, wiedzy, norm i zasad, których znajomość uważa się za obowiązującą członków danej zbiorowości narodowej”. Niestety dla piewców porządku żywa tkanka kultury nigdy nie pozwoliła „dysponować się”, grupować się „w zespoły”, czy narzucać się jako „obowiązującej”. Być może najbliższy takiego uformowania kultury był Stalin, ale on swoim terrorem tworzył z założenia kulturę wielonarodową (czasem mającą udawać „kospolityczną”), a i nie udało mu się wygrać z „osądem historii” – klasycy socrealizmu są dalece mniej istotni dla współczesnej Rosji (i na terytoriach byłych Republik Radzieckich) niż rosyjscy dysydenci.

Podobnie rzecz się ma z innymi „siłami”, które próbowali (i próbują) narzucać kulturom obowiązujące kanony – ministrowie oświaty przy współudziale historyków sztuki (lub im wbrew), czy też zmieniające się mody i trendy. „Słowacki wielkim poetą był!” – pisał Gombrowicz i w swej ironii oraz proteście miał rację. Jeżeli dalej uprzemy się przy szukaniu kultury narodowej (stary to dylemat nauk społecznych – obserwujemy, że coś ma na ludzi wpływ, *ergo* musi rzeczywiście istnieć, i szukamy odpowiedzialnej kreatury, niestety często nie tam, gdzie trzeba), zdefiniujmy ją inaczej: jako wspólny mianownik zasobów kultury, przekazywany w procesie akulturacji (z grubsza: wychowania i edukacji) w przestrzeni komunikacyjnej jednego lub kilku krajów, który buduje zażyłość kulturową i wspólną tożsamość. I co decyduje o tym, co do tego wspólnego mianownika może przynależeć? Tu pojawia się problem.

Gdyby namówić przypadkową osobę na ulicy do tego, by – do wyboru – zacytować wiersz Słowackiego lub fragment dialogu z filmu *Miś*, co by odpowiedziała? W rozmowach ze znajomymi lub zdaniem telewizji „z misją” (patrz: teleturniej *Kocham Cię, Polsko!* w TVP2) popularna piosenka lub film mają dzisiaj pierwszeństwo. Jednak gdyby uznać film *Ciacho*, który w pierwszych trzech dniach ściągnął do kin 216 tys. widzów, za „nowy kanon”, a Patryka Vegę za „skarb narodowy” – coś w nas jednak się buntuje.

Kanony, podręczniki, snobizmy i mody nie decydują o ostatecznym kształcie kultury narodowej. Ile pamięta się z klucza odpowiedzi do lektury szkolnej? Albo z bestsellerowej powieści? Ustami jednej z czytelniczek Biblioteki odpowiem: „Wie Pan, świetnie się czytało! Ale z tego tak niewiele zostaje, na drugi dzień nie pamiętam już nic...”.

Co zatem decyduje? Co ma istotny wpływ na kulturę narodową, jaką znamy? Pewna odpowiedź nasunęła mi się podczas serii pokazów niemieckich filmów w Bibliotece. Filmy były dobierane „kluczem artystycznym” (co oznacza również oceny krytyków) i tematycznym, rezygnującym z „klucza popularności”. Nie wszystkim musiało to przypaść do gustu. Patrząc z perspektywy kolejnych „sezonów pokazów”, najwyższe reakcje wzbudzały filmy „artystycznie znaczne”, w jakimś stopniu „popularne” i... odnoszące się bezpośrednio do współczesnych problemów społeczeństwa niemieckiego (i pośrednio polskiego). Niby żadne z tego odkrycie, ale w kontekście kultury narodowej nasuwa pewne odpowiedzi.

Te trzy czynniki budowały siłę owych filmów, która była niczym innym jak wyższym poziomem identyfikacji widzów z wyświetlanym obrazem. Takie też dzieła, które odnoszą się do popularnych współczesnych debat o ważkich problemach społecznych (w czym Niemcy się lubują, a czego, moim zdaniem, brak w polskiej rzeczywistości), mają największą szansę (szansę, bo nie ma tu reguły) stać się częścią prawdziwego, żywego kanonu.

Nie usuwa to jednak napięcia między „sztuką wyższą” a „popularną”. Postanowiłem nasze spotkania z kulturą niemiecką najbliższej jesieni rozbić na dwa nurty. Z jednej strony pozostaniemy przy pokazach filmowych, które skoncentrują się na popkulturze i masowym odbiorze (a na co ukulem określenie „Leichtkultur”, nie do końca poprawną zbitkę słów, gdzie *leicht* oznacza lekkość). Bez czego duża część Niemców nie wyobraża sobie niedzielnego wieczoru i tak winduje rekordy oglądalności? Seriale kryminalne! Polski *boom* czytelniczy na kryminały nie jest niczym wyjątkowym. Serię *Tatort* („Miejsce przestępstwa/zbrodni”) od lat 70. śledzą i doceniają widzowie, a jej siła polega m.in. na osadzeniu wątku kryminalnego w realiach bliskich niemieckiemu widzowi. Tegoroczny 867. odcinek miał oglądalność rzędu 13 milionów, a wielu Niemców potrafi wyliczyć nazwiska komisarzy policji występujących w popularnych kryminałach.

Z drugiej strony zajmujemy się niemiecką *Leitkultur* („kultura przewodnią”, często tłumaczoną jako „kultura powszechna” – kiedyś być może będące synonimami, dzisiaj coraz mniej tożsame). Jesienią

rozpocznie działanie Dyskusyjny Klub Książki Niemieckiej, który podejmie ów wątek – jednak nie od strony „uznanych kanonów”. Głośna dyskusja w Niemczech nie wybuchła w wyniku ukazania się nowego wydania „Dzieł wszystkich” Goethego, ale na skutek powracającego pytania o kształt społeczeństwa wielokulturowego. Pomimo ustalenia pewnego konsensusu w sprawie, „jakie wspólne wartości muszą dzielić współobywatele” – czyli „wartości konstytucyjne” oraz znajomość języka – dyskusja rozgorzała na nowo. I uderzyła w imigrantów oraz Niemców „o obco brzmiących nazwiskach”. Zaczęto pytać o kulturę przewodnią, której z premedytacją nie definiowano (jest ona dla każdego trochę czymś innym). Z drugiej strony zaczęto podważać pewne zapisy „testu na obywatelstwo” – m.in. jeden z landów zadał pytanie na teście, który zdać musi każdy obcokrajowiec pretendujący do niemieckiego obywatelstwa, o stosunek do homoseksualistów, co pośród samego społeczeństwa niemieckiego nie jest jasno określone. Wokół tej dyskusji, rozpętanej przez zwolenników asymilacji kulturowej, „kulturalistów”, dla których przynależność do danej kultury ma przesądzać o zdolności jednostki do funkcjonowania w zachodnim systemie wartości. Na obrzeżach tej głośniejszej dyskusji powstało wiele dobrej literatury, którą tworzą po niemiecku autorzy z rodzin o tzw. „tle migracyjnym”. I książki z tego „nurtu”, które zostały przetłumaczone na język polski, będziemy czytać na spotkaniach Klubu. Zaś po lekturze będziemy stawiać sobie ważne pytania o *Leitkultur*, np. „Dlaczego Hertha Müller, niemiecka noblistka w literaturze, jest traktowana przez swoich sąsiadów jako imigrantka nie potrafiąca dobrze akcentować po niemiecku?”.

Obie serie postawią nas nie tylko przed pytaniem o to, co możemy uważać za „niemieckie”/ „polskie”, ale również przed pytaniem, w jaki sposób zmienia się sama zasada tworzenia i funkcjonowania *Leitkultur* we współczesnym świecie. Jeden z niemieckich pisarzy odpowiada tak: „Politycy mówią dzisiaj: »Możecie wszyscy być tak samo niemieccy jak my, chcemy was«. To miło, ale ci Turcy, czy ja także, nie chcemy może być Niemcami w tradycyjnym sensie. Może być tak, że to, co my definiujemy jako niemieckie, będzie w przyszłości dużo bardziej różnicowane, pluralistyczne, tak samo jak czymś coraz bardziej oczywistym staje się dzisiaj wielojęzyczność. Nie bardzo rozumiem, dlaczego nie można mieć dwóch czy więcej tożsamości. Tymczasem ciągle oczekuje się jakiejś decyzji”.



Rekonstrukcja historyczna

Rekonstrukcja historyczna, czyli – inaczej mówiąc – odtwórstwo historyczne, stało się na przestrzeni ostatnich piętnastu lat bardzo popularne. Sezon na imprezy rekonstrukcyjne wydłuża się rokrocznie, startując wczesną wiosną i kończąc się wraz z nastaniem pierwszych bardziej odczuwalnych mrozów (choć są i imprezy zimowe). Jak w każde hobby również w rekonstrukcję można zaangażować się rozmaicie – od płytkiego zainteresowania, aż do całkowitego zaangażowania i podporządkowania wszystkich niemal aspektów życia codziennego, łącznie z urządzaniem mieszkania, wyborem samochodu czy planowaniem urlopów.

Nie sposób omówić w krótkim tekście wszystkich aspektów i niuansów składających się i wpływających na kształt odtwórstwa historycznego. Niewątpliwie potrzebna jest baza teoretyczna, wiedza na temat historii odtwarzanej epoki – i to zarówno politycznej, jak i w większej mierze gospodarczej oraz społecznej. By wpasować się w realia odtwarzanej epoki, należy zdobyć możliwie najwięcej informacji o życiu codziennym, zwyczajach, przesądach czy stereotypach panujących na danym obszarze, w danym społeczeństwie. Niezbędna jest również umiejętność krytyki źródeł, tak by spośród wielu możliwości wybrać te najlepsze i najwierniejsze oraz nie posługiwać się przy rekonstrukcji średniowiecza obrazami romantycznymi, czy też współczesnymi produkcjami kinowymi. Co najważniejsze, trzeba jeszcze te źródła znaleźć, zatem poświęcić sporo czasu na poszukiwania zarówno w Internecie jak i w tradycyjnych bibliotekach, a także – jeśli to tylko możliwe – na wyprawy szlakiem muzeów i wystaw archeologicznych.

Powinno się w końcu zadać pytanie samemu sobie, jak wierna ma być nasza rekonstrukcja. Czy zadowolimy się strojami szytymi maszynowo z ręcznym wykończeniem, opartymi na sprawdzonych i uznawanych za wiarygodne źródłach, czy też może traktujemy odtwórstwo czysto zabawowo, po najmniejszej linii oporu, i nie będą nas razić zamki błyskawiczne oraz poliestrowe tkaniny, czy też w końcu zdecydujemy się na jak najdokładniejszą rekonstrukcję, posuwając się do ręcznego przędzenia wełny owiec za pomocą wrzeciona (bo kołowrotki były w średniowieczu traktowane bardzo nieufnie, a flandryjscy tkacze nie używali przędzy przygotowanej

na kołowrotku do tkania, uznając ją za surowiec gorszej jakości), ręcznego tkania materiału na krosnach, ręcznego (co oczywiste) szycia za pomocą naturalnych włókien, czy też barwienia ubiorów za pomocą roślinnych barwników.

Przy „świadomej” rekonstrukcji konieczna jest dobra znajomość lokalnej mody – lokalnej, ponieważ ubiory różniły się znacząco w poszczególnych regionach, np. w składowych częściach ubioru, poczynsz od bielizny, a skończywszy na płaszczu i rękawiczkach. Swoją drogą, rękawiczki to bardzo ciekawy element stroju – występowały bowiem w wersji jednopalczastej z kciukiem, bądź trójpalczastej – z oddzielnym kciukiem i dwoma palcami, gdzie w jednym mieścił się wskazujący i środkowy, a w drugim serdeczny i mały. Rękawiczki były szyte ze skóry i prawdopodobnie również tkane igłą (jest to wikińska technika dziewiarska), natomiast nie do końca pewne jest, czy występowały również dziergane na drutach. Co prawda znane jest przedstawienie Matki Boskiej robiącej na pięciu drutach ubranie dla Jezusa dziecka, jednakże, po pierwsze, jest to dość późny obraz włoski, a po drugie – nie zachowało się zbyt wiele przykładów dzianin (prawdopodobnie dlatego, że uległy rozkładowi). W związku z tym status dzianin w rekonstrukcji jest nadal sporny. Tego typu ciekawostki, zagadki i dochodzenia towarzyszą rekonstruktorom nieustannie. Ot choćby kwestia podkuwanych butów, skąd się wzięły, dlaczego, jak podkuwano i kto mógł sobie na takie pozwolić? I jaki związek miało podkuwanie butów z rozwojem techniki budowy dróg? Odtwórcy śledzą przebieg szwów w sukniach na obrazach Van der Veydena, czy też konstrukcji nogawic (bo trzeba zauważyć, że nie używano w średniowieczu spodni, każda noga miała własną autonomiczną nogawkę, zwaną właśnie nogawicą). Kolejną kwestią są kolory. Współcześnie symbolika kolorów jest bardzo uproszczona, jednakże w wiekach średnich barwy stroju niosły ze sobą konkretne i bardzo szczegółowe komunikaty. Częściowo dlatego ówczesne modne zestawienia kolorystyczne mogą dziś nieraz przyprawić o ból zębów.

Przygotowanie pozornie łatwej w opracowaniu sukni roboczej (często w światku nazywanej spodnią – ponieważ szanująca się niewiasta nosiła kilka warstw ubioru, w tym co najmniej dwie-trzy

1 Fot. Dariusz Skowron; na zdj. Małgorzata i Maciej Skowron
 2 Fot. Małgorzata Skowron; na zdj. Dariusz Skowron
 3 Fot. Katarzyna Skowron; na zdj. Małgorzata Skowron i Dariusz Skowron

suknie) może przerodzić się w wielomiesięczną pracę badawczą poświęconą historii używania guzików i zgłębianiu statusu materialnego i samodzielności ekonomicznej kobiet w XV w. Bo przecież logicznie rzecz ujmując, suknie, które w „późnopiętnastkowej” modzie były już mocno dopasowane do sylwetki – do wysokości bioder – poprzez system sznurowań, mogły określać status społeczny właścicielki. W jaki sposób? W suknię sznurowaną na plecach nawet najbardziej wygimnastykowana kobieta sama się nie ubierze, potrzebuje do tego pomocy służby, a skoro jest w stanie sobie na nią pozwolić, możemy śmiało założyć, że nie należy do najbiedniejszych.

Bycie rekonstruktorem jest równoznaczne z praktycznym zgłębianiem profesji detektywa. Gdy skompletujemy już strój (łącznie z ręcznie szitymi skórzanymi butami) i drobiazgami (igielnik, nożyk, nożyczki, pasek), należy zaopatrzyć się w namiot (jako że większość imprez rekonstrukcyjnych jest plenerowa). Oczywiście kształt i wielkość naszego schronienia jest komunikatem jasno pokazującym zamożność rekonstruktora. Namiot taki powinno się oczywiście uszyć ręcznie, z grubego lnianego płótna, które, jeśli jest odpowiednio naciągnięte, nawet bez impregnującej warstwy wosku pszczelego jest wodoodporne. Wyposażenie obozowe nie będzie pełne bez naczyń, sztuców (pamiętamy o tym, by nie używać widelca przy stole), a także mebli (jak choćby krzesel, stołów, łóżka). Życie w obozie zdecydowanie ułatwiają również akcesoria – lampki, cebrzyki, balie, noże, kosze. Jeśli wciągniemy się w odtwórstwo, często meble i sprzęty używane pierwotnie kilka razy w roku podczas imprez, zaczną wypierać meble i sprzęty „cywilne”.

Rekonstrukcja to niesamowita pasja. Potrafi zawładnąć niemal wszystkimi aspektami życia, jednak mimo wyrzeczeń, jakie trzeba w jej imię ponieść, zyskuje się bardzo, bardzo wiele: począwszy od ogromnej wiedzy, jaką zdobywa się podczas poszukiwań wzorów i źródeł, przez niesamowitą frajdę własnoręcznego tworzenia artefaktów, ubiorów, butów, elementów uzbrojenia, tkanin, po – co najważniejsze – wielkie, trwające latami przyjaźnie.





Symetria i paradoks równowagi

Jeżeli istnieje równowaga opisana symbolicznie, najczęściej odnosi się do dwustronnego wsparcia, postawy stabilnie opartej na dwóch nogach, działania równocześnie z prawa i z lewa, gestów połączonych dłoni oraz wszelkich układów symetrycznych, zgody i zrozumienia. Tym samym jest matematyczny znak równości. Symetria jest nieuniknionym pojęciem rodzącym się na styku podobieństwa i przeciwstawności. Ale symetria to również sposób komponowania elementów w układach statycznych. Stąd, jeżeli w barokowym malarstwie symetria środkowa jako zasada kompozycji była przełamywana, to celem takiego zabiegu było ożywienie i większa dynamika obrazu. Często w jej miejsce pojawiała się symetria osiowa i inne sposoby zorganizowania elementów kompozycji malarskiej.

Pewnie dopiero w XX w. ktoś powiedział, że symetria jest estetyką głupców. Jako autora tego zdania zwykle wskazuje się Picassa, czasami Le Corbusiera, choć pojawia się też kilka innych, nie mniej znanych nazwisk. Z uskrzydłonymi powiedzeniami tak jednak bywa, że ich prawdziwość, w tym przypadku istotnie wielce problematyczna, ograniczona jest do określonego kontekstu i do momentu w historii sztuki. Najprostsza postać symetrii, określana jako symetria lustrzana, może wydawać się nazbyt prostym sposobem zagospodarowania przestrzeni w wielowymiarowym świecie, wraz jednak z uświadomieniem sobie złożoności naszych relacji z rzeczywistością, może się okazać, że porządek rozumiany w tak prosty sposób ofiaruje nam gotowe rozwiązanie wielu dylematów.

W filmie Krzysztofa Zanussiego *Struktura kryształu* spotykają się po latach dwaj przyjaciele, obaj są fizykami, każdy jednak inaczej układa sobie życie – jeden skupił się na karierze naukowej, drugi zaszył się na wsi. Pierwszy walczy o pozycję zawodową w swoim środowisku i między uczelniami. Odwiedza przyjaciela z misją nakłonienia go do powrotu. Spotykają się po latach gość – gwiazda nauki, człowiek znany z mediów – i gospodarz, jego przyjaciel, skromny pracownik stacji meteorologicznej, który kontynuuje działania poznawcze przez własne dociekania. Różni ich wszystko i może właśnie dlatego ich przyjaźń jest szczera. Nie zgadzają się w wielu ważnych kwestiach, a jednak nie niszczy to ich relacji.

Równowaga i siła przyciągania przeciwieństw decydują o trwałości kryształu. Symetria jest słowem, które nie pada w tytule tego filmu, może dlatego, że wyjaśniłoby ono zbyt wiele i zbyt szybko.

Możliwe są dwa podejścia, obydwa obciążone poważnymi konsekwencjami. Pierwsze, idealistyczne, uznaje, że świat jest strukturalnie doskonały, że prosta, lustrzana symetria istnieje niezależnie od naszego punktu widzenia czy ocen, człowiek ma najczęściej dwie ręce, dwoje oczu, dwoje uszu, ziemia dwa bieguny, doba dzień i noc, każda historia początek i koniec. Z tak rozumianego porządku świata można wyprowadzić naturalną skłonność do binarnych rozróżnień: jeżeli coś jest zimne, to coś musi być i ciepłe, jeżeli jest dobro, musi być i zło. Uproszczenia myślowe zawsze są niebezpieczne, generują bowiem fałszywe oceny i uprzedzenia. Warto pamiętać, że prawda i kłamstwo to również para binarnych przeciwieństw.

Stanowisko takie pojawia się także w bardziej subtelnej formie, poszerzając symetrię lustrzaną o odmiany foremności, oparte na innych regulach, na przykład różnych odmian symetrii walcowej, sferycznej, translacyjnej, wreszcie symetrii obrotowej. Regularność takich zjawisk jak spiralne ukształtowanie ślimaczej muszli, czy inspirujące między innymi J. W. Goethego rozmieszczenie liści na łodydze (filotaksja), można opisać za pomocą ciągu Fibonacciego. Moda na wyjaśnianie świata za pomocą prostych narzędzi wymaga zapewne pełniejszej diagnozy. Często eksploatowana w kulturze popularnej „magia” związku pomiędzy liczbami i naturą przypomina tematy na temat alchemii, iluminatów, kabały w ich uproszczonej postaci, pozbawionej symbolicznego sensu i intelektualnego zaplecza. Na marginesie można zauważyć, że dwubiegunowa symetria lustrzana również da się sprowadzić do pierwszych elementów ciągu średniowiecznego matematyka.

Drugie podejście, wywodzące się w najszerszym zakresie od Leibniza, wpisuje się w paradygmat nowożytnej nauki. W najbardziej skrajnej postaci może jednak prowadzić do wniosku, że obserwowane prawidłowości są jedynie konstrukcjami myślowymi. Uzasadnia to, po pierwsze, wielość modeli matematycznych opisu-

jących symetrię, a po drugie – ich przybliżony charakter. Tak jak w działaniach opartych na logarytmach, których istotą była możliwość sprowadzenia rzeczywistości do stosunków liczbowych i szybkiego stworzenia przybliżonego modelu, typologie symetrii mają znaczenie praktyczne, poszerzając możliwości opisu świata. Takie próby usystematyzowania struktury kryształów podejmowali już 140 lat temu Maria i Piotr Curie. Prace te stały się podstawą matematycznego ujęcia symetrii, ujawniając przy okazji granice automorfizmu – inaczej niż w modelach geometrycznych będących intelektualną konstrukcją. Przekształcenia w strukturach kryształów nie wykraczają poza granice określone już na poziomie molekularnym.

Podkreślając wartość precyzyjnego i niezwykle ważnego dla fizyki współczesnej modelu Hermanna Weyla, należałoby zauważyć, że zmieniło się znaczenie, w jakim współcześnie matematycy i fizycy używają słowa symetria, istotą jej bowiem stał się nie układ przestrzenny, lecz równoważenie oddziaływań energetycznych, czego doskonałym przykładem w jest pole Yanga-Millsa. Matematyczny opis możliwych porządków symetrii, zmierzając do uporządkowania rzeczywistości, jakkolwiek ma wszelkie cechy osiągnięcia epokowego, w istocie podporządkowuje naszą wizję świata paradygmatom fizyki kwantowej. Podobnie postępowano w całej historii nauki, często tracąc z oczu istotę problemu, kiedy metody i założenia ideologiczne stawały się ważniejsze od poznania.

Kiedy mówimy o równowadze, mówimy o sytuacji, w której elementy układu są statyczne, a czas nie jest wielkością znaczącą. W filmie Zanussiego efekt zatrzymania czasu odgrywa swoją rolę. Zima, wieś pogrążona w śniegu, brak wyraźnych zwrotów akcji, te elementy tworzą tło kameralnego dramatu, który krok po kroku wprowadza widza w tytułową strukturę. Kryształ – który tworzy się długo i opisuje stabilne relacje, a zarazem jest strukturą przestrzenną – często pojawia się w sztuce. Trzy lata po filmie Krzysztofa Zanussiego na płycie *Return to Forever* Chick Corea umieścił kompozycję *Crystal Silence*. Zapewne nie przypadkiem posłużyła ona jako tytułowy utwór kolejnej płyty nagranej w duecie pianisty

z wibrafonistą Garym Burtonem. Równowaga, dialog, przestrzeń, cisza, kryształ, doskonałość – nie są to cechy przypadkowe. Symetria duetu i kryształ jako metafora równowagi.

Dzięki fizyce pojawił się jeszcze jeden wymiar równowagi, energia, która zapewnia równowadze stabilność. Jej brak spowodowałby wyrównanie potencjałów i dążenie do stanu wyczerpania, do którego zmierza entropia – chaosu i wyczerpania, zaniku różnic i energetycznej śmierci. Równowaga i trwanie, podobnie jak brak równowagi i przemijanie, to w większym stopniu stany emocjonalne niż diagnoza rzeczywistości. Należą one do tej grupy sądów, które opierają się na silnych reakcjach uczuciowych i braku przesłanek logicznych. Najczęstszym powodem takiego stanu ducha nie jest nawet rzeczywiste zerwanie z porządkiem, ale ograniczona perspektywa przestrzenna lub czasowa. Nie dostrzegając wszystkich powiązań, nie umiając przewidzieć wszystkich konsekwencji zmian, popadamy w rozpacz – coś się kończy, umiera, zanika, a my nie umiemy zauważyć, że zmiana otwiera nową perspektywę.

Chaos spowodowany nieostrożnym zniszczeniem mrowiska może wydawać się końcem świata z punktu widzenia mrówek, ale z punktu widzenia ogrodu okazuje się najczęściej ledwie chwilowym zakłóceniem porządku. Uwolniona przestrzeń zostanie natychmiast zagospodarowana przez inne mrówki albo nawet inny gatunek stworzeń. W strukturach dynamicznych takie „zakłócenia” stają się nowymi elementami równowagi, którą fizyka kwantowa określa mianem supersymetrii. Nie w nazwach jednak tkwi problem, a w zjawisku i perspektywie, z jakiej je oceniamy. Podstawową reakcją na wytrącenie z równowagi jest świadomość zmiany i związane z nią poczucie zagrożenia. Być może ów lęk jest spowodowany brakiem poczucia zagnieżdżenia w świecie. Ale może być też odwrotnie. Brak równowagi byłby więc wyrazem niepokoju i próbą ucieczki przed napięciem, z którym nie umiemy sobie poradzić. I jest to jeszcze jedno równanie, które można symetrycznie odwracać bez obawy, że utrata indywidualnej równowagi pozbawi całą zbiorowość szansy przetrwania.

Marek Barański

Sobota dwa razy w tygodniu

o tomiku *to i owo* Tadeusza Różewicza

Co dolega człowiekowi 91-letniemu? Dolega mu starość. Jest takim stanem, w którym myli się wtorek z piątkiem. Przy porannym wstawaniu ktoś umarły zaplątuje się w myśli. Sobota przydarza się dwa razy w tygodniu.

1.

Od wielu tygodni karmię się wierszami z najnowszego tomu Tadeusza Różewicza. Chodzą za mną. Zwłaszcza *jeszcze jeden dzień*.

A kiedy mam dość poezji, oglądam rysunki wykonane ręką poety i takie, które sprezentowali mu przyjaciele.

Tom zamyka rysunek Różewicza noszący tytuł *Ostatnia Kartoteka*. Jest na nim „Czarny punkcik, plamka... itd. itd”. To wyobrażenie... muchy, którą ogląda, leżąc na tapczanie, bohater *Kartoteki*.

Kiedy naczynam się wierszy i naoglądam rysunków, studiuję rękopisy utworów reprodukowanych w tej pięknie wydanej książce.

2.

W wierszu *jeszcze jeden dzień* Tadeusz Różewicz daje nam wejrzeć w swoją starość. Wspomina w nim umarłych poetów. Czy myśli o Leopoldzie Staffie, który opisywał świt w wierszu *Przebudzenie*? Może o Czesławie Miłoszu? Albo o Adamie Mickiewiczu?



T. Różewicz na Międzynarodowych Targach Książki, Warszawa 2000 r.
Fot. Marek Barański

Poeta nie ma takiej władzy, by umarłych powołać do życia, ale jest władny w wierszu przywołać ich blaknące postaci, tak jak ubranego w niebieski drelch sędziwego mężczyznę, którego spotkał kiedyś w Bulgarii.

Współczuje niedomagającym starym ludziom, którzy chodzą z balkonikami, ale też wścieka się na starców, którzy „trupim jadem nienawiści zarażają młode serca”. I nie opuszcza poety wisielczy humor, gdy woła „kupmy se koturny / a potem... marsz marsz / do urny...”.

Poecie dolega świat współczesny, w którym rządzi „sponsory szmiry i zdziry”, a uwaga mediów koncentruje się na kulinariach, na „kuchni” we wszystkich odmianach, tak jakby poza nią nic nie istniało.

3.

Dolega poecie świat, który spycha na margines wysiłek wojenny Polaków. Czytając 500-stronicowe wspomnienie Montgomery’ego spostrzega, że brytyjski marszałek nie poświęcił ani słowa polskim generałom i nacelnym wodzom z II wojny światowej, bitwie o Monte Cassino i Powstaniu Warszawskiemu...

Kiedyś poeta tłumaczył Annie Żebrowskiej źródła swojego pesymizmu: „A nas w najlepszych latach spotkało najgorsze” – mówił. W najnowszym tomie napomina „kainowe plemię”: „kaci dla wszystkich / stworzeń / urządzają bez przerwy / rzeź niewiniątek”.

4.

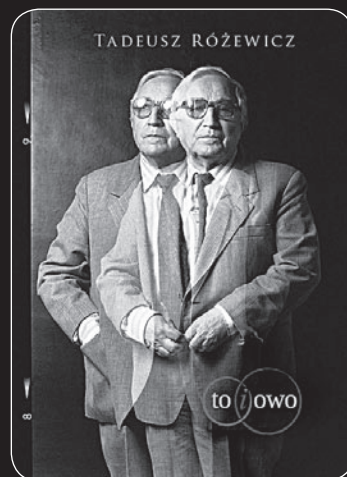
Jak Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* „widział i opisywał” Litwę, tak Pan Tadeusz opisuje zawód literata. Sporządza rejestr czynności w gospodarstwie pisarza. W inwentarzu jest epika, czyli powieść i opowieść. Jest liryka, czyli poezja. Myślenie i opisywanie, to jest filozofia. Do uprawiania tego zawodu niezbędne jest „czucie”.

A czym w takim razie jest natchnienie? Jaka jest jego technologia? Poeta pisze: „czuję widzę myślę / i muszę To opisać / to jest natchnienie”.

Ale w rejestrze pisarza, poety i literata znajduje się również wściekłość. Bo kiedy przeczyta, przepisze, poprawi i znów przeczyta swój utwór – milczy, potem ogarnia autora wściekłość i wtedy znów zabiera się za odczytywanie tego, co napisał.

Wściekłość to zawód poety.

Tadeusz Różewicz, *to i owo*, postłowie Jan Stolarczyk,
Wrocław, Biuro Literackie, 2012.



Vincent Laurensz van der Vinne albo nieskończoność

(...) My zaś nie wiemy na pewno nic,
tylko wieści słyszymy
Homer, *Iliada*

Jest to na pewno jedna z tych tajemnic, które nigdy nie zostaną odkryte. Nie ma co do tego wątpliwości. Bo kto, powiedzcie, kto wie, dokąd rozciąga się krajobraz w tle, tuż za uśmiechem Mona Lisy? Pytanie o to, co niewidzialne, nie dane bezpośrednio i nienamagalne, zdaje się być pierwszym i ostatnim pytaniem, jakie przychodzi człowiekowi zadać. Czy aby na pewno sobie?

Obraz poza ramą, czyli to, czego malarz nie zdołał przedstawić, powinno pobudzać wszystkie nasze zmysły. Świat dopowiedziany, żywoty polecone. Wszelki nadmiar zawsze pobudzał artystów. Malarz zobowiązany wymiarami płótna, rzeźbiarz zdany na formę ograniczoną przestrzenią, czy pisarz, który poświęciwszy życie na opisanie świata, umiera któregoś popołudnia, zdając sobie sprawę, że nie ukończy swej pracy. Czyżby wszelka nasza działalność z góry skazana była na przegraną? Lecz pragnienie skatalogowania nieskończoności tli się w nas od zarania. Poeci wszelkiej maści, malarze i bibliotekarze, garbaci urzędnicy i dróżnicy, kronikarze i kapłani, przedstawiciele cechu i skarbnicy, astronomowie, patolodzy, zbrodniarze i prokuratorzy, starcy zmęczeni i niewidomi, niemi i poborcy, marszałkowie, błazni i królowie, protokolanci, agenci przystojni i nieomylni, kataryniarze, organiści, dziwkarze i alkoholicy, marynarze, zbieracze bursztynu, ich dzieci i dzieci ich dzieci, dzień po dniu, strona po stronie przenoszą do historii nieprzebraną górę rzeczy, słów i imion.

Niedoścignionymi mistrzami w szaleństwie zbieractwa okazali się Holendrzy. Pewnie przez ciągły stan zagrożenia, w jakim przy-

szło im żyć, przez nieustannie wiszącą nad głowami groźbę zalania i zniknięcia z pamięci kartografów, holenderscy malarze gromadzili na swych płótnach niezliczoną ilość owoców, mięs, czy ryb.

Wszystkie ułożone w centrum, niedbale, zdawałoby się bez większego sensu. Jednak właśnie dzięki temu udawało im się uzyskać wrażenie obfitości. Różnorodność kształtów, faktur i kolorów stawała przed oczami patrzących.

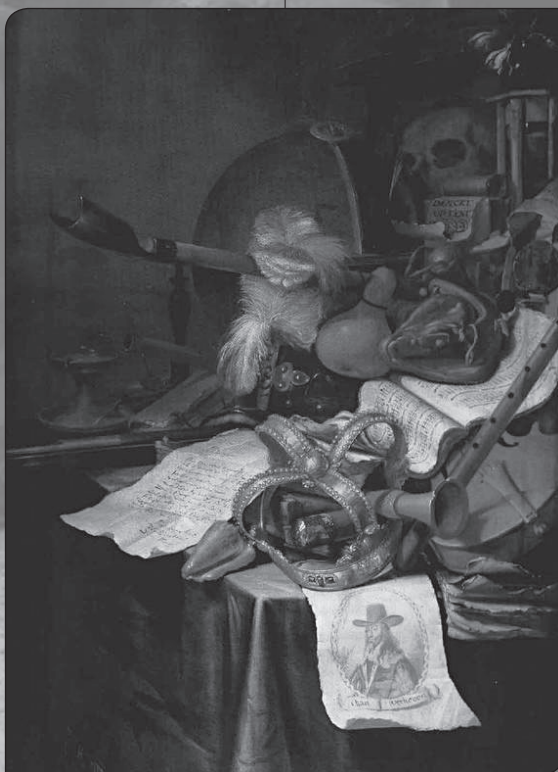
U Vincenta van der Vinne mieszają się przedmioty nieposiadające wzajemnego odniesienia. Jego obrazy to idealny przykład sztuki wanitatywnej. Ukazujące marność ludzkiego trudu, gromadzenia materii i kurzu. I tak oto obok korony, symbolu ziemskiej władzy i panowania, leżą rzeczy ulotne, jak papier; mrowie szpargałów nieistotnych, jak torby, flet i zeszyt nutowy, zwiedle kwiaty nienasycone barwą, spoglądające na czaszkę skrytą za globusem.

I u dołu obrazu mały portret króla.

Król Karol założył dwie koszule. Dzień był bowiem wyjątkowo chłodny. *Jeśli będę drżał, moi wrogowie powiedzą, że to ze strachu. Chcę uniknąć takich zarzutów* – powiedział przyjacielowi, biskupowi Juxton. Do końca był przekonany o słuszności swojej sprawy. Gdy dotarli na miejsce, Karol

rozejrzał się wokół i spojrzał w oczy rozemocjonowanego tłumu. Pewnym ruchem zdjął płaszcz i wstęgę Orderu Św. Jerzego, które oddał w ręce Juxtona. Do niego skierował swoje ostatnie słowo: *Remember (Pamiętaj)*.

Chwilę po tym kat odciął głowę króla jednym ciosem.



ODWAŻ SIĘ BYĆ KULTURALNYM

